

Książnica

1115

E. A. Hoffmann

Złoty Garnek

H. GAWLIKOWSKI. № 4
KSIĄŻNICA TOM 15.

E. T. A. HOFFMANN.

27

ZŁOTY GARNEK

BAJKA NOWOŻYTNYCH CZASÓW

PRZEKŁAD

JANA KLECZYŃSKIEGO.



WARSZAWA—LWÓW
1907.



E. T. A. HOFFMANN.



Wigilja pierwsza.

Nieszczęsne przygody studenta Anzelmusa.—Hygieniczny tytuń Konrektora Paulmanna i złoto-zielone węże.

W dzień Wniebowstąpienia, o godzinie trzeciej po południu, w Dreźnie, pędził pewien młodzieniec przez Czarną Bramę—i upadł prosto w koszyk z jabłkami i ciastkami, które sprzedawała jakaś stara, brzydka kobieta — tak, że wszystko, co ocalało szczęśliwie od zgniecenia, rozsypało się, a ulicznicy wesoło dzielili się zdobyczą, jakby dla nich rozrzuconą przez śpieszącego się pana. Stara zaczęła krzyczeć gwałtu, a na to kumoszki porzuciły swoje stragany z ciastkami i wódką, otoczyły młodzieńca i lżyły go z taką prostacką gwałtownością, że ten, oniemiały ze zmartwienia i wstydu, wyciągnął tylko swój mały, niezbyt obficie napełniony woreczek z pieniędzmi, który stara łakomie chwyciła i szybko schowała. Na to rozluźniło się

wprawdzie szczerze zwarte koło, lecz za ledwie młodzieniec wyrwał się zeń coprędzej, stara krzyknęła za nim:

— Tak, pędźże — pędźże dalej, czarci synu — zginiesz w kryształach — już ci bliżej, niż dalej — tak! w kryształach! —

Przeraźliwy, skrzeczący głos starej miał w sobie coś okropnego, tak, że przechodnie zdumieni przystanęli cicho, a śmiech, który się wkoło przed chwilą rozlegał, nagle umilkł.

Student Anzelmus (on właśnie był tym młodzieńcem), chociaż nie rozumiał szczególnych słów starej, uczuł, że ogarnia go mimowolny strach, i uskrzydlił jeszcze bardziej swoje kroki, aby umknąć przed skierowanymi nań spojrzeniami ciekawego tłumu. A kiedy tak się przeciskał przez zbitą gromadę postrojonych ludzi, słyszał, jak szemrano na wszystkie strony:

— Biedny młody człowiek! — A niechże tę przeklętą kobietę!

Tak tedy, w najszczególniejszy sposób, tajemnicze słowa starej nadały śmiesznej przygodzie pewien odcień tragizmu, i dzięki temu — spoglądano teraz z współczuciem na młodzieńca, którego przedtem nie zauważono nawet wcale. Kobiety, patrząc na jego krzepką postać

i twarz urodziwą, której wyraz potęgował jeszcze płomień wewnętrznego wzburzenia, wybaczały mu całą jego niezręczność, jak również strój, który nic nie miał wspólnego z jakąkolwiek modą. Jego szczupaczo-szary frak był skrojony w ten sposób, jak gdyby twórca jego, krawiec, o kroju współczesnym wiedział tylko ze słyszenia, a czarny, atlasowy, starannie utrzymany strój dolny nadawał całoci pewien styl profesorski, z którym znów było w zupełnej sprzeczności zachowanie się i szczególne położenie młodzieńca.

Gdy wreszcie student nasz dobiegł do końca alei, prowadzącej do piwiarni Linka, był już tak wyczerpany, że oddech mu zapierało. Musiał zwolnić kroku; ale za ledwie że śmiał wzrok odrywać od ziemi, gdyż wciąż jeszcze jabłka i ciastka tańczyły mu przed oczyma, a każde przyjazne spojrzenie spotykanych dziewcząt wydawało mu się tylko odbłaskiem złośliwego śmiechu przy Czarnej Bramie. Tak doszedł aż do wejścia piwiarni Linka. Wchodziły tam jedne za drugimi całe szeregi świątecznie ubranych ludzi. Z wnętrza gmachu dochodził odgłos muzyki orkiestrowej, a gwar wśród wesółych gości stawał się coraz głośniejszym.

Biednemu Anzelmusowi prawie że lzy sta-

nęły w oczach; dla niego dzień Wniebowstąpienia był wyjątkowem świętem rodzinnem; i on miał czerpać ze źródeł szczęśliwości Linkowego raj; tak, on chciał się posunąć aż do pół porcji kawy z rumem i podwójnej butelki piwa — i aby tak wspaniale użyć, wziął więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek, więcej, niż to było dozwolonem. I oto fatalny upadek w kosz z jabłkami pozbawił go wszystkiego, co miał przy sobie. O kawie, o piwie podwójnem, o muzyce, o widoku postrojonych dziewcząt: krótko mówiąc — o wszystkich wymarzonych rozkoszach nie było już co myśleć; przesunął się powoli obok nich — i wreszcie udał się drogą, prowadzącą ku Elbie; była zupełnie pustą. Pod jakimś krzakiem bzu, co wyrastał z muru, znalazł ciche, ustronne miejsce; tam siadł i naładował fajkę higienicznym tytuniem, który mu podarował jego przyjaciel, konrektor Paulmann.

Tuż przed nim pluskały i szumiały fale żółtozielonej Elby; poza nią wspaniałe Drezno dumne i śmiało strzelało lśniącemj wieżycami w wzniesione sklepienie nieba, które spływało na kwitnące łąki i świeżo zielone lasy, a z głębi oddalenia wynurzał się łańcuch gór, przypominając daleki kraj Czechów. Ale student Anzelmus posępnie patrzył w tę dal, zawzięcie puszczał w

powietrze kłęby dymu i wreszcie głośno dał wyraz swemu smutkowi, mówiąc:

— A jednak to prawda; urodziłem się, by dźwigać wszelkie możliwe krzyże, znosić wszelkie możliwe nieszczęścia! — Że nigdy nie zostałem królem migdałowym, że w „parzyste czy nieparzyste“ zawsze zgadywałem fałszywie, że chleb z masłem zawsze upadał mi na tłustą stronę — o całej tej nędzy wcale już nie chcę wspominać; ale czyż to nie straszne jakieś przeznaczenie, że odkąd djabłu na pociechę zostałem studentem, musiałem odrazu stać się i pozostać pośmiewiskiem kolegów. Czy włoży kiedy nowy surdut, nie plamiąc go od pierwszego razu czem tłustem, lub nie dziurawiąc go źle zatknietą szpilką w najwidoczniejszym miejscu? Czy ukłonię się kiedy jakiemu radcy lub jakiej damie, nie rzucając przytem gdzieś daleko kapelusza, lub, co gorsza, haniebnie potykając się i wywracając na równej drodze? Czyż nie miałem już na halach targowych stałego wydatku, w każdy dzień jarmarczny — około trzech do czterech groszy — na rozdeptane garnki, bo djabeł kładzie mi w głowę, by iść wprost przed siebie, jak Lamingi? Czy przyszedłem choć raz w porę na wykład lub tam, gdzie mnie zaproszono? Cóż pomogło, że wychodziłem z

domu o pół godziny wcześniej i stawałem pod drzwiami z ręką na klamce? bo gdy z uderzeniem godziny chciałem tę klamkę nacisnąć, szatan wylewał mi miednicę wody na głowę lub kazał mi zetknąć się gwałtownie z kimś, co właśnie wychodził, tak, że zaplątywałem się w tysiące sporów i przez to opuszczałem wszystko.

— Ach! ach! gdzieżecie wy, błogie sny o przyszłym szczęściu? — jak to ja dumnie marzyłem, że dojdę tu aż do rangi tajnego sekretarza! Ale czyż moja zła gwiazda nie uczyniła najlepszych protektorów moich wrogami?

— Wiem, że ten radca tajny, któremu mnie polecono, nie znosi ostrzyżonych włosów; fryzjer z wysiłkiem przyczepia mi mały warkoczyk na tyle głowy, ale przy pierwszym ukłonie fatalny sznurek pęka, a wesoły mops, który mnie obwąchuje, aportuje z trjumfem warkoczyk panu radcy tajnemu. Ja rzucam się za psem przerażony i wpadam na stół, przy którym pan radca pracował, jedząc śniadanie, — i oto filiżanki, talerze, kałamarz i puszka z piaskiem z hałasem zlatują na podłogę, a strumień czekolady i atramentu zalewa tylko co napisany raport.

— Czyś pan zwarjował? — ryczy rozzłoszczony radca tajny i wyrzuca mnie za drzwi.

— Cóż to pomoże, że mi pan konrektor Paulmann zrobił nadzieję na posadę sekretarza? Czyż pozwoli na to moja zła gwiazda, która mnie wciąż prześladowuje?

— Albo dzisiaj! Chciałam ten miły dzień Wniebowstąpienia przepędzić tak przyjemnie, chciałem przecież coś nie coś na ten cel poświęcić. Mogłem również dobrze, jak każdy inny gość u Linka, zawołać z dumą: — Kelner — podwójna butelka piwa — ale proszę o najlepsze! — Mógłbym być tam siedzieć aż do późnego wieczora, i to jeszcze tuż obok jakiego towarzystwa wspaniale ubranych, pięknych dziewcząt. Już ja wiem dobrze, nabrałbym napewno odwagi, stałbym się zupełnie innym człowiekiem; tak, posunąłbym się aż do tego, że gdyby która z nich zapytała: która to może być teraz godzina? albo: co to jest, co oni grają? — poskoczyłbym wtedy lekko, nie wywróciwszy mojej szklanki, nie potknąwszy się o moją ławkę; kłaniając się, podszedłbym, kilka kroków i powiedziałbym: — mademoiselle, pozwoli pani sobie usłużyć, to jest uwertura z „Dziwicy Dunaju“, albo: — zaraz wybije szósta. — Czyż jest taki człowiek na świecie, któryby mi to wziął za złe? — Nie! jestem przekonany, że owe dziewczęta popatrzałyby na siebie z ta-

kim filuternym uśmiechem, jak to zwykle bywa, kiedy nabieram odwagi i chcę pokazać, że i ja także znam się na lekkim tonie światowym i umiem zachować się wobec dam. — Ale cóż? — szatan prowadzi mnie w ten przeklęty kosz z jabłkami i oto muszę w samotności, z moim higienicznym tytuniem...

Tu przerwały studentowi Anzelmusowi jego rozmowę z sobą samym jakieś szczególne szmery i szelesty, które powstały w trawie, tuż obok niego, lecz wnet wśliznęły się między gałęzie i liście tuż ponad głową jego rozpostartego bzu. Raz było, jakgdyby wiatr wieczorny potrząsał liśćmi, to znów, jakgdyby ptaszki igrały wśród gałęzi, goniąc się wesoło i trzepocąc skrzydełkami. A potem zaczęły się jakieś szepty i gwary, i było, jakgdyby zadźwięczały kwiaty, niby dzwoneczki z kryształu. Anzelmus słuchał i słuchał. I wtem — sam nie wiedział, jak to się stało — owe gwary, szeptania, dźwięczenia, zamieniły się w ciche, rozwiewające się słowa:

Wśród liści — między witkami — wśród gałęzi, wśród okiści kwiatów, wijmy się, przewijajmy, prześlizgujmy się z siostrzyczkami — przewijajmy się, błyszcząc — kolyszmy się w lśnieniach — szybko, szybko, w górę — nadół — słońce wieczorne

ciska strzały promienne, wietrzyk szeleści — rosa upada — śpiewają kwiaty — ruszajmy jęczyczkami — śpiewajmy z kwiatami i gałęziami — wnet gwiazdy zabłyszcą — wracać nam trzeba — wśród kwiatów i liści, między witkami, wijmy się, przewijajmy, prześlizgujmy się z siostrzyczkami. —

I tak szło dalej — jakby porwana mowa. Student Anzelmus myślał: — Toż to przecież tylko wiatr wieczorny, który szepce mi jednak dzisiaj zupełnie zrozumiałe słowa. —

Ale w tej samej chwili zabrzmiał mu ponad głową, jakby trójdźwięczny akord przeczystych dzwonów z kryształu. Spojrzał w górę — i zobaczył trzy, lśniące zielonem złotem, wężyki, co okręciły się o gałęzie i wysunęły główki na wieczorne słońce. I znowu powtórzyły się w tych samych słowach rozhowory i szeptania, a wężyki przemykały się, prześlizgiwały wśród liści, gałęzi do góry i nadół; a kiedy poruszały się tak szybko, zdało się, że to krzak bżowy sypie tysiącem płomienistych szmaragdów poprzez ciemne liście.

— To słońce wieczorne tak igra i lśni na drzewie — myślał student Anzelmus: ale wtem znowu zadźwięczały dzwony z kryształu, i Anzelmus zobaczył, że jeden z węzów wyciągnął ku niemu główkę.

Jakby prąd elektryczny przebiegł mu przez ciało, zadrżał aż do dna duszy, bo oto para ciemnobłękitnych oczu spojrzała nań z niewysłowioną tęsknotą, że omal nie rozsadziło mu piersi jakieś nigdy niedoświadczane uczucie największej błogości i najostrzejszego bólu. A kiedy on, pełen żaru pożądania, wciąż patrzył tak w te przesłodkie oczy, silniej zadźwięczały rokoszne akordy kryształowych dzwonów, upadły nań płomieniste szmaragdy, otoczyły go, migając naokół tysiącem ogników, igrając błyszczącymi niemi ze złota. I poruszył się bżowy krzak i rzekł:

— Leżałeś w cieniu moim, mój zapach owiewał cię, aleś nie pojął mnie: zapach jest mową moją, kiedy go miłość nieci.

Wiatr wieczorny przeleciał i rzekł:

— Owiewałem sny twoje, aleś nie pojął mnie: tchnienie jest mową moją, kiedy je miłość nieci.

Poprzez chmury wyrzwały słoneczne promienie, a blask ich zdawał się gorzeć wyrazami:

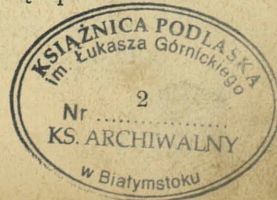
— Oblewałem cię żarem roztopionego złota, aleś nie pojął mnie. Żar jest mową moją, kiedy go miłość nieci.

I coraz głębiej, coraz silniej zatapiał się wzrok w rokoszny błękit dwojga oczu, coraz

goręcej płonęła tęsknota, coraz potężniej paliło pożądanie. A wkoło zadrżało, poruszyło się wszystko, jakgdyby obudzone do wiosennego życia. Kwiaty zapachniały wszystkie razem, a woń ich była jak cudny śpiew tysiąca fletni; a co one śpiewały, to niosły echem dalekiem chmury złociste, mknące gdzieś w kraje nieznane. Lecz skoro tylko zniknął ostatni promień słońca za górą, a jednocześnie zmierzch rzucił na ziemię swój cień, z dalekiej dali zabrzmiał nagle szorstki, głęboki głos:

— Hej, hej! A cóż to tam za hałasy i gwar? — Hej, hej! kto mi tam szuka promienia za górą? Dostyc świecenia, dostyc śpiewania! — Hej, Hej! Przez krzaki, przez trawy — przez trawy, przez rzeki! — Hej — hej — do do — o-o-mu — do — do-o-o-mu! —

I tak zaginął głos, jakby w pomruku dalekiego grzmotu — ale dzwony z kryształu zazgrzytały w ostrym dysonansie. Wszystko ucichło, i Anzelmus zobaczył, jak owe trzy węże, lśniąc i błyskając wśród trawy, pełzły ku rzece; szmerząc, szeleszcząc rzuciły się w Elbę, a nad falami, w których się zanurzyły, zatrzeszczał zielony płomień i sunął po rzece ukośnie, w kierunku miasta.



Wigilja druga.

Jak student Anzelmus uchodził za pijanego, niespełna rozumu. — Przejazdźka po Elbie. — Arja brawurowa kapelmistrza Grauna. — Wódka żółdkówka u Conradi'ego i przekupka od jabłek w bronzie.

— Temu panu chyba się w głowie pomie-
szało — mówiła jakaś szanowna obywatelka, która wracając z rodziną ze spaceru, przystanęła nagle i z założonemi rękami przyglądała się, co za niepojęte rzeczy wyprawiał student Anzelmus. Młodzieniec bowiem objął pień bżowego drzewa i wołał bezustannie w gęstwą gałęzi i liści:

— O, tylko raz jeszcze załśnijcie, zajaśniejcie, najdroższe, złote wężyki, tylko raz jeszcze przemówcie waszemi głosami z dzwoneczków! Tylko raz jeszcze spojrzycie na mnie, rokoszne oczy błękitne, tylko raz jeszcze — inaczej zgine w bolu i palącej tęsknocie!

I wzdychał i jęczał przytem z całej duszy, bardzo żałośnie, i potrząsał w pożądaniu i niecierpliwości bżowem drzewem, ale ono za całą odpowiedź szeleściło swemi liśćmi głucho i niezrozumiale i zdawało się w ten sposób porządnie drwić z bolu studenta Anzelmusa.

— Temu panu chyba się w głowie pomie-
szało — mówiła obywatelka Drezna, a studentowi Anzelmusowi było, jakby go kto otrząsnął z ciężkiego snu lub oblał lodowo-zimną wodą, tak, że się zbudził gwałtownie. Odnowa ujrzał wyraźnie, gdzie się znajduje i uświadomił sobie, jak to rozdrażniły go jakieś szczególniejsze mary i nawet doprowadziły do tego, że zaczął głośno mówić do siebie. Zmieszany patrzył na stojącą przed nim kobietę i wreszcie chwycił za leżący na ziemi kapelusz, aby stąd uciec natychmiast.

Tymczasem zbliżył się doń również ojciec rodziny i postawiwszy w trawie dziecko, które niósł na ręku, oparł się na lasce i ze zdziwieniem, przypatrywał się i przysłuchiwał studentowi. A potem podniósł fajkę i woreczek z tytuniem, które Anzelmus upuścił, i podając mu obydwa przedmioty, rzekł:

— Nie lamentuj że pan tak strasznie w ciemności i nie niepokój pan ludzi, jeżeli właś-

ciwie nic ci się nie stało, tylkoś pan widać za wiele zaglądał do kieliszka, ot idź pan lepiej do domu i wyśpij się pan porządnie!

Student Anzelmus uczuł się bardzo zawstydzonym, wy dobył z siebie tylko płaczliwe „ach!”

— No, no — mówił dalej mieszczanin — niema się znowu czem tak przejmować. To się zdarza najporządniejszym ludziom, a przy miłym dniu Wniebowstąpienia można przecież ze szczerego serca pozwolić sobie coś ponad miarę. Można to chyba wybaczyć nawet słudze Bożemu — jesteś pan, zdaje się, kandydatem teologii. — Ale pozwoli pan, że nałożę sobie trochę pańskiego tytuniu, bo mój mi już wyszedł.

Tak mówił obywatel, gdy student Anzelmus już chciał schować i fajkę i woreczek, a teraz ów mieszcuch zaczął czyścić powoli i z namysłem swoją fajkę i potem równie powoli zabrał się do jej nakładania. Jednocześnie zaś zbliżyło się ku nim wiele dziewcząt, które szepotały coś pocichu z żoną obywatela i chichotały między sobą, patrząc na Anzelmusa. A ten stał jak na ostrych cierniach i rozżarzonych szpilkach. Więc skoro tylko oddano mu fajkę i woreczek z tytuniem, uciekł stamtąd co tchu. Wszystkie dziwy, na które patrzył, ulotniły mu się zupełnie z pamięci, przypominał sobie tyl-

ko, że pod bzowem drzewem gadał głośno jakieś niestworzone rzeczy, co było dlań tem okropniejszym, że oddawna miał głęboki wstręt do wszystkich, co mówią sami do siebie. „Szatan gada przez pana” — mawiał jego rektor — o, on wierzył teraz święcie, że to prawda. Żeby go uważano za pijanego w dzień Wniebowstąpienia „Candidatus theologiae”: nie ta myśl była inie do zniesienia. Już chciał skrócić w aleję Pappela przy ogrodzie Kozel, gdy jakiś głos za nim zawołał:

— Panie Anzelmus! Panie Anzelmus! Do stu piorunów, dokądże pędzisz pan tak wściekle?

Student zatrzymał się, jakby w ziemię wrósł. Był przekonany, że wnet nowe nieszczęście zwa-
li mu się na głowę. Głos odezwał się znowu:

— Panie Anzelmus, no wróć że się pan, czekamy tu nad wodą!

Teraz dopiero nasz student poznał, że to jego przyjaciel, konkurent Paulmann go wołał; wrócił się nad Elbę i spotkał tam konrektora z jego dwoma córkami oraz pana registratora Heerbranda, którzy właśnie mieli zamiar wsiąść w łódkę. Konrektor zaprosił studenta, aby przejechał się z nim po Elbie i aby potem spędził u niego wieczór w mieszkaniu, znajdu-

jącem się na przedmieściu Pirnau. Student Anzelmus bardzo chętnie przyjął zaproszenie, gdyż sądził, że może przecież wymknie się fatalności, która dziś nad nim ciążyła.

Kiedy już jechali po rzece, zdarzyło się, że na drugim brzegu, koło ogrodu Antoniego, puszczano ognie sztuczne. Z hukiem i sykiem strzelały w górę rakiety, a lśniące gwiazdy pękały w powietrzu, siejąc naokół tysiące traskających iskier i płomieni. Student Anzelmus siedział skulony tuż obok wiosłującego przewoźnika; kiedy teraz zobaczył w wodzie odbicie rozpryskujących się w powietrzu iskier i wstęg ognistych, zdało mu się, że to złote wężyki pełzają po falach. Wszystkie dziwy, jakich był świadkiem pod bżowem drzewem, znowu stanęły mu jak żywe przed oczyma — i odnowa ogarnęła go ta sama niewysłowiona tęsknota, to samo palące pożądanie, które mu tam zaciskały serce w kurczowo bolesnym zachwycie.

— Ach, wyżeście to znowu, wężyki złociste? śpiewajcie, ach, śpiewajcie! W śpiewie waszym pojawiają się znowu te drogie, roszkowne, ciemno-błękitne oczy — ach, czyżbyście były tam, pod falami?

Tak zawołał student Anzelmus i uczynił

przytem gwałtowne poruszenie, jakby chciał zaraz wyskoczyć z łódki w wodę.

— Opętany, czy co? — krzyknął przewoźnik i chwycił go za połę fraka.

Panienki, które siedziały koło niego, krzyknęły przerażone i uciekły na drugą stronę łodzi; registrator Beerbrand szepnął coś konrektorowi Paulmanowi do ucha, na co ten zaczął mu coś długo tłumaczyć, lecz student Anzelmus zrozumiał stąd tylko pojedyncze wyrazy:

— ...Miewa podobne napady... jeszcześ pan nie zauważył? —

Wkrótce potem powstał również konrektor Paulmann i przysiadł się z nieco uroczystą, urzędowo poważną miną, do studenta Anzelmusa, ujął go za rękę i rzekł:

— Jak się pan czuje, panie Anzelmus?

Student Anzelmus nieledwie, że odchodził od przytomności, gdyż uczuwał, że w głębi duszy powstawało mu jakieś straszliwe rozdwojenie, które napróżno starał się opanować. Ujrzał teraz wyraźnie, że to, co uważał za lśnienia złotych wężyków, było jedynie odbiciem ognia sztucznych w ogrodzie Antoniego; ale jakieś nigdy niedoświadczane uczucie, sam nie wiedział, czy roszkowne, czy ból, zaciskało mu pierś konwulsyjnie, a kiedy przewoźnik tak zanurzał

wiosło w wodę, że ona, jakby w złości się burząc i pniąc, pluskała i szumiała, rozróżnił w tych bulgoczących szmerach jakby tajemne szepkanie:

— Anzelmusie! Anzelmusie! Czyż nie widzisz, że płyniemy ciągle przed tobą? — Siostrzyczka patrzy się znowu na ciebie — uwierz — uwierz — uwierz w nas! —

I zdało mu się, że widzi odbłask trzech zielonych, żarzących się smug. Lecz kiedy potem z sercem, zamierajacem z tęsknoty, patrzył na wodę, czy nie wyjrzą nań zpośród fal te rokoszne oczy, zrozumiał znów, że ów odbłask ma swe źródło w oświetlonych oknach niedalekich domów. I siedział tak, milcząc i walcząc z sobą w głębi duszy; ale konrektor Paulmann zapytał jeszcze głośniejsze:

— Jak się pan czuje, panie Anzelmus?

Student odpowiedział bardzo nieśmiało:

— Ach, kochany panie konrektorze, gdybyś pan wiedział, co ja dzisiaj za nadzwyczajne rzeczy śniłem na jawie, z otwartymi oczami, pod bżowem drzewem, pod murem ogrodu Linka — ach, napewno nie miałby mi pan za złe, że ja tak jak nieprzytomny...

— Aj, aj, panie Anzelmus — przerwał konrektor Paulmann. — miałem pana zawsze za so-

lidnego młodzieńca — ale śnić — z szeroko otwartymi oczami śnić, a potem nagle ni stąd ni zowąd chcieć skakać do wody — to już — przepraszam pana — to już mogą tylko ludzie niespełna rozumu, albo kpy! —

Studenta Anzelmusa głęboko zasmuciły ostre słowa przyjaciela; lecz wtem odezwała się najstarsza córka Paulmanna, Weronika, bardzo ładna, bujna, szesnastoletnia dziewczyna:

— Ach, kochany ojciec, musiało się przecież panu Anzelmusowi przytrafić coś bardzo nadzwyczajnego, i on może tylko wierzy, że to było na jawie, choć pod tym bżowym krzakiem musiał rzeczywiście spać i przyśniły mu się rozmaite głupstwa, które mu teraz nie dają spokoju.

— Ależ najszanowniejsza panno Weroniko, zacny konrektorze — zabrał głos pan registrator Heerbrand — czyż to nie można i nie śpiąc pograżyć się w pewien stan marzenia, śnienia? Bo proszę tylko posłuchać, co mnie się zdarzyło. Kiedym siedział pewnego razu po obiedzie przy kawie w takim stanie majaczenia, w takiej chwili cielesnego i umysłowego trawienia, przyszło mi nagle jakby natchnienie, zobaczyłem, gdzie znajduje się pewien zgubiony akt sądowy; a wczoraj znowu w podobny sposób tańczyła mi przed

oczyma jakaś wspinała faktura łacińska — przed mojemu szeroko otwartemi oczyma.

— Ach, najszanowniejszy registratorze — odparł konrektor Paulmann — zawsze pan miał taką skłonność ku „poeticis“, a wtedy wpada się łatwo w fantastyczność i romantyzm.

Ale studentowi Anzelmusowi było przyjemnie, że się ktoś za nim ujął w takim nadzwyczaj przykrem położeniu, kiedy go miano za pijanego lub niespełna rozumu, i chociaż było dość ciemno, zdało mu się, że teraz dopiero zauważył prawdziwie ładne, ciemno-błękitne oczy Weroniki — które mu jednak wcale nie przypominały przedziwnych oczu, widzianych pod bzowem drzewem. Wogóle studentowi Anzelmusowi znów odrazu wyleciała zupełnie z pamięci cała przygoda pod bzowem drzewem; uczuł, że mu lekko i wesoło — tak! — doszedł nawet jakby w nadmiarze swawolnego zuchwalstwa do tego, że przy wysiadaniu z łódki podał dłoń pomocną obrończyni swojej, Weronice, a potem, gdy szli już razem pod rękę, doprowadził ją z taką zręcznością i tak szczęśliwie do domu, że raz jeden tylko się pośliznął, i ponieważ była tam właśnie jedyna kałuża na całej drodze, więc tylko bardzo niewiele obryzgał białą suknię Weroniki.

Szczęśliwa zmiana w usposobieniu studenta Anzelmusa nie uszła uwagi konrektora Paulmanna, który na powrót uczuł do niego sympatię i przeproszał za swoje ostre słowa, wypowiedziane przed chwilą przeciw niemu.

— Tak — dodał — zapewne, bywają przykłady, że nieraz uroi się człowiekowi jakie widziadło, które może go niepokoić i dręczyć; ale to jest choroba cielesna, i na to pomagają pijawki, które się przystawia, „salve venia“, na zadku, jak to dowodził pewien sławny profesor, co niedawno umarł.

Student Anzelmus istotnie sam nie wiedział, czy był pijany, obłąkany, czy chory; w każdym razie jednak pijawki wydały mu się zupełnie zbyteczne, ponieważ jego mniemane widziadła znikły zupełnie, a zresztą czuł się coraz weselszym, im bardziej starał się nadszakiwać pięknej Weronice.

Po skromnej wieczerzy, jak zwykle, zaczęło się muzykowanie; student Anzelmus musiał zasiąść przy fortepianie, a Weronika zaśpiewała coś swoim jasnym czystym głosem.

— Szanowna panno Weroniko — rzekł registrator Heerbrand — pani ma głos, jak dzwon kryształowy!

— No, to, to chyba nie! — wyrwało się stu-

dentowi Anzelmusowi, sam nie wiedział jakim sposobem, — a wszyscy spojrzeli nań ze zdziwieniem i pomieszaniem.

— Kryształowe dzwony dźwięczą w bzo-
wych drzewach tak cudnie! tak cudnie! — mru-
czał dalej student Anzelmus półgłosem.

Lecz Weronika położyła mu swoją dłoń na
ramieniu i rzekła:

— Co pan tam mówi, panie Anzelmus?

Natychmiast student znowu zupełnie otrze-
źwiał i zaczął grać. Konrektor Paulmann spoj-
rzał nań chmurnie, ale pan registrator Heer-
brand położył nuty na pulpicie i zaśpiewał wspa-
niale brawurową arję kapelmistrza Grauna. Stu-
dent Anzelmus akompanjował jeszcze coś nie-
coś, a wreszcie duet fugowy, który zaśpiewał
z Weroniką, i który skomponował sam konrek-
tor Paulmann, wprowadził wszystkich w zna-
komity humor.

Jednakże czas schodził, było już dość póź-
no, więc registrator Heerbrand sięgnął po łaskę
i kapelusza, ale konrektor Paulmann zbliżył się
ku niemu tajemniczo i rzekł:

— Aj, gdybyś pan sam zechciał, szanowny
registratorze, kochanemu panu Anzelmusowi —
no! — to, o czemśmy przedtem mówili.

— Z największą przyjemnością! — odpo-

wiedział registrator Heerbrand, i kiedy wszyscy
usiedli, zaczął mówić, co następuje:

— Jest tutaj pewien stary, nadzwyczajny,
zadziwiający człowiek; opowiadają, że służy
wszelkiej wiedzy tajemnej; ale ponieważ wie-
dza podobna nie istnieje, więc ja uważam go
raczej za uczonego antykwariusza, a oprócz te-
go może za badacza, pracującego nad chemją do-
świadczalną. Mam tu na myśli oczywiście nasze-
go tajemniczego archiwariusza Lindhorsta. Miesz-
ka, jak panowie wiecie, sam, w swoim starym
ustronnym domu, i jeśli go nie zajmują inte-
resy służbowe, zawsze go można zastać w je-
go bibliotece lub w jego pracowni chemicznej,
do której jednakże nie wpuszcza nikogo. O-
prócz wielu rzadkich ksiąg, posiada on jeszcze
mnóstwo rękopisów, po części arabskich, kop-
tyjskich, a nawet pisanych jakimiś szczególne-
mi znakami, nie należącemi do żadnego ze zna-
nych języków. Otóż on pragnie, aby mu je
zręcznie przepisywano, a do tego trzeba czło-
wieka, który umie rysować piórem, któryby
mógł wszystkie te znaki przenieść na pergamin
— i to jeszcze tuszem — z jaknajwiększą do-
kładnością i sumiennością. Praca ma się odby-
wać w jakimś osobnym pokoju jego domu, pod
jego własnym kierunkiem. Oprócz obiadu, w

godzinach pracy, ofiarowuje za to bitego talara dziennie i obiecuje jeszcze jakiś okazały podarek, jeżeli przepisywanie uda się szczęśliwie aż do końca. Praca odbywa się codziennie od 12-ej do 6-ej. Od trzeciej do czwartej—obiad i odpoczynek. Ponieważ panu Lindhorstowi już z kilkoma ludźmi nie udały się próby tego przepisywania, więc zwrócił się w końcu do mnie, abym mu wyszukał jakiego zręcznego rysownika; wtedy zaraz pomyślałem o panu, kochany panie Anzelmus, ponieważ wiem, że pan nie tylko bardzo ładnie i porządnie pisze, lecz także bardzo ozdobnie i czysto rysuje piórem. Jeżeli więc pan zechce w tym ciężkim czasie, aż dopóki pan nie znajdzie jakiej stałej posady, zarabiać talara bitego dziennie, a w dodatku jeszcze otrzymać upominek, to niechże pan będzie łaskaw żąść jutro punktualnie o dwunastej w południe do pana archiwarjusza, który mieszka — no, pan zapewne wie, gdzie. Ale wystrzegaj się pan wszelkich plam z atramentu; jeżeli kleks taki upadnie na odpis, to musisz pan bez litości zaczynać znów od początku, jeżeli upadnie na oryginał, to pan archiwarjusz potrafi pana za okno wyrzucić, bo to człowiek prędki.

Student Anzelmus ucieszył się całą duszą

z propozycji registratora Heerbranda; bo nie tylko, że ładnie pisał i rysował piórem, lecz mozolne, kaligraficzne przepisywanie było wprost jego namiętnością; podziękował więc w najuprzejmniejszych wyrazach swoim protektorom i obiecał dobrze pamiętać o jutrzejszej godzinie dwunastej. W nocy majączyły mu przed oczyma same błyszczące, bite talary, a w uszach brzmiał mu ich luby dźwięk. I któżby to mógł mieć za złe biedakowi, którego dziwaczna, nieszczęsna przygoda odarła z tak skromnych nadziei i który musiał teraz liczyć się z każdym groszem, odmawiając sobie najdrobniejszych przyjemności, do jakich parła go młodzieńcza żądza życia.

Już od wczesnego rana wyszukiwał swoje ołówki, swoje pióra, swój chiński tusz; bo archiwarjuszowi, myślał, trudno chyba będzie znaleźć lepsze przybory. Przedewszystkiem zaś uporządkował swoje arcydzieła kaligraficzne oraz swoje rysunki, aby przedstawić je archiwarjuszowi na dowód swoich zdolności, że potrafi zadość uczynić jego wymaganiom. Wszystko to poszło jak z płatka, zdawało się, że unosi się nad nim jakaś szczególnie szczęśliwa gwiazda, krawat leżał odrazu, przy pierwszym zawiązaniu, bez zarzutu, żaden szew nie pękł, nie rozdarło

się żadne oczko w czarnych, jedwabnych pończochach, kapelusz nie upadł ani razu na zakurzoną podłogę, on zaś był już gotów, ubrany czysto i porządnie. Jednem słowem, punktualnie o wpół do dwunastej, student Anzelmus stał w swoim szczupaczo-szarym fraku i czarnem, atlasowem ubraniu dolnem, ze zwitkiem rękopisów kaligraficznych i rysunków piórkowych w kieszeni, już przy ulicy zamkowej w sklepie Conradi'ego i pił — jeden — dwa kieliszki najlepszej wódki, żołądkówki — bo tutaj — myślał, uderzając się po pustej kieszeni — wnet zadzwonią bite talary.

Pomimo, iż dość daleko było do odosobnionej ulicy, przy której znajdował się odwieczny dom archiwariusza Lindhorsta, student Anzelmus zdążył przed bramę jeszcze przed dwunastą. Przystanął i przypatrywał się wielkiemu młotowi z brązu u bramy; ale kiedy teraz, z ostatniem potężnie rozbrzmiewającym w powietrzu uderzeniem godziny na zegarze wieżowym kościoła Ś-go Krzyża, chciał chwycić za młot, aby nim zapukać, nagle przeciągnęła się metalowa twarz młota we wstrętnej grze żarzących, niebieskich błyskań oczu, wykrzywając się w szatański, szydarczy uśmiech. Ach! to była prze-

blek zpod Czarnej Bramy. Ostre zęby zgrzytneły w obwisłej gębie, a w zgrzycie tym charczało, warczało:

Ty durniu — durniu — durniu — waruj teraz, waruj! Czemżeś się wyrwał! — durniu!

Student Anzelmus rzucił się w tył przerażony, chciał chwycić za węgar u bramy, lecz dłoń jego natrafiła na sznurek od dzwonka i pociągnęła ku sobie, a wtedy zaczęło dzwonić i dzwonić, coraz mocniej, fałszywie, przeraźliwie, a w opuszczonym domu echo rozbrzmiewało głucho i szydziło okropnie, mknąc poprzez puste sale:

— Zginiesz w kryształach! Zginiesz w kryształach! —

Groza ogarnęła studenta Anzelmusa, mróz febryczny wstrząsnął nim kurczowo od góry do dołu. Sznur od dzwonka opuścił się ku niemu i stał się olbrzymim, białawym, przezroczystym węzem, który objął go i dławił, coraz silniej i silniej zaciskając zwoje, aż kruche, miażdżone członki z trzaskiem popękały, aż krew wytrysnęła z żył przenikając w przezroczyste ciało węża i barwiąc je na czerwono.

— Zabij mnie! zabij mnie! — chciał krzyć Anzelmus w dzikim strachu, ale krzyk jego był jeno jak głucho rżenie.

Ale wąż podniósł głowę i położył swój długi, ostry język z rozpalonej stali na jego pierś, a wtedy wnikliwy, ostry ból przeciął nagle arterję życia Anzelmusa, i ogarnęło go zapomnienie.

Kiedy znów przyszedł do siebie, leżał na swoim biednym łóżku. Przed nim stał konrektor Paulmann i mówił:

— Na miłość Boską, co pan wyrabiasz, kochany panie Anzelmus!—

Wigilja trzecia.

Wiadomości o rodzinie archiwariusza Lidhorsta. — Błękitne oczy Weroniki. — Pan registrator Heerbrand.

Duch unosił się nad wodami, i przewalało się coś i huczało w spienionych bałwanach i z grzmotem spadało w bezdenne przepaści, które otworzyły swe czarne paszczęki, by wchłaniać i wchłaniać pożądliwie. A skały granitowe, jak pełni chwały zwycięzcy, wznosiły swe zębato-ukoronowane głowy, czyniąc straż nad doliną, aż ją słońce przyjęło na swe matczyne łono, i otaczając złotymi promieniami, pieściło ją, ogrzewało, niby w palących ramionach. A wtedy tysiąc nasion, drzemiących pod piaskiem jałowym, obudziło się z głębokiego snu; i wysunęły się przed oblicze matczyne zielone listki łodygi, a kwiaty, jak uśmiechnięte dzieci na zielonej łące, spoczywały w zalążkach i pączkach, póki ich także nie obudziła matka, i przystroiliły się te-

mi blaski, któremi obdarzyła je dobroć matczy-
na, by cieszyły się własnych ciałek tysiącnym
ubarwieniem. Ale w środku doliny znajdował się
czarny wzgórek, który wznosił się wgórę i o-
padał nadół, jak pierś człowieka, gdy ją wzdy-
ma tęsknota. — Z czeluści wybuchały kłębiące
się dymy, i zbierając się w mury wrogie, olbrzy-
mie, próbowały zasłonić matki oblicze; lecz o-
na przywołała burzę, która rzuciła się na nie
i rozpedziła je; a kiedy odnowa spoczął czy-
sty promień na czarnem wzgórzu, wtedy, w
nadmierze zachwytu, wykwitła stamtąd promie-
nista lilja, otwierając swe cudne listki, niby usta
roskoszne, by chłonać słodkie pocałunki matczy-
ne. — A wtedy olśniewające światło przeszło
przez dolinę! Był to młodzieniec Fosforus, któ-
rego płomienista lilja spostrzegła, i ogarnięta go-
rącą, tęskną miłością, błagała: — Ach, bądź mo-
im na wieki, piękny młodzieńcze! Albowiem ko-
cham cię i zgine, jeżeli mię opuścisz. — Mło-
dzieniec Fosforus odpowiedział: — Pragnę być
Twoim, o piękny kwiecie, ale ty wtedy, jak wy-
rodne dziecko, opuścisz ojca i matkę, nie bę-
dziesz już chciała znać swoich rówieśników, za-
pragniesz być większą i potężniejszą, niż wszyst-
ko, co cieszy się z Tobą razem, jako podobne
Tobie. Tęsknota, która teraz tak lubo ogrzewa

całą twą istotę, rozbita na tysiąc promieni, spra-
wi ci męki najsrozsze; albowiem żądza narodzi
zmysły, a rokosz najwyższa, wzniecona przez
iskrę, którą w ciebie rzucę, będzie beznadziej-
nym bolem, w którym zginiesz, by narodzić
się znowu, lecz w innej, obcej sobie postaci. —
Tą iskrawą jest myśl! — Ach, skarżyła się lilja,
czyż nie mogę być twoją w takim płomieniu, ja-
ki teraz we mnie płonie? Czyż mogę Cię ko-
chać więcej, niż teraz, i czyż nie będę mogła
patrzeć na Ciebie, jak teraz, jeżeli mnie znisz-
czysz? — I pocałował ją młodzieniec Fosforus,
i jakby nawskroś światłem przeniknięta, stanęła
cała w płomieniach, z których powstała nowa,
obca istota, co szybko uleciała z doliny i krą-
żyła po nieskończonych przestworach, ani dba-
jąc o rówieśników młodości, ani też o ukochane-
go młodzieńca. A ten jęczał za utraconą ko-
chanką, gdyż i jego także tylko miłość bezgra-
niczna do pięknej lilji sprowadziła w samotną
dolinę, a skały z granitu pochyliły swe głowy,
współczując boleści młodzieńca. Ale jedna ze
skał otworzyła swe łono, i z szumem potężnych
skrzydeł wyleciał z niej czarny smok i powie-
dział: Bracia moi, metale, drzeźni tam w głę-
binach, ale ja nie śpię, ja czuwam i chcę dopo-
móc Tobie. I wznosząc się, opadając i krą-

żąc, smok schwytał wreszcie istotę, z lilji poczętą, zaniósł ją na pagórek i wziął ją pod swoje skrzydła; a wtedy napowrót stała się lilja, ale pozostała w niej myśl i szarpała jej wnętrze, a miłość ku młodzieńcowi Fosforusowi stała się palącym bolem, od którego, owiane jadowitemi dymy, więdły i umierały kwiaty, co dawniej cieszyły się jej widokiem. — Młodzieniec Fosforus nałożył lśniące pancerze, mieniające się tysiącem barw i promieni i walczył ze smokiem, który uderzał swem czarnem skrzydłem o zbroję, aż jasny, mocny dźwięk rozebrzmiewał w dolinie; a od potężnego dźwięku znowu ożyły kwiaty i trzepotały się jak barwne ptaki wkoło smoka, aż opuściły go siły, aż, zwyciężony, ukrył się w ziemi głębinach. Lilja była wolna, młodzieniec Fosforus objął ją pełen palącego pożądania, niebiańskiej miłości, a w uniesieniu radosnem pokłoniły się jej kwiaty i ptaki, i nawet wysokie skały z granitu, jako królowej doilny. —

— Przepraszam pana, to są jakieś wschodnie bajdy, szanowny panie archiwarjuszu! — odezwał się pan registrator Heerbrand — my zaś prosiliśmy pana przecież, abyś nam pan, jak zwykle odpowiedział coś ze swojego nadzwyczajnego, w najwyższym stopniu ciekawego ży-

cia, na przykład jaką przygodę z podróży, no i przecież coś rzeczywistego.

— Więc o cóż chodzi?—odpowiedział pan archiwarjusz Lindhorst — to, co wam opowiedziałem, jest czemś najbardziej rzeczywistem, co tylko miałem na podorędziu, dla was, ludzie— a zarazem łączy się to w pewien sposób z mojem życiem. Gdyż ja właśnie pochodzę z owej doliny, a płomienista lilja, która tam była królową, jest moją pra-pra-pra-prababką, wskutek czego jestem właściwie księciem.—

Wszyscy wybuchnęli niepohamowanym śmiechem.

— Śmiejcie się sobie z całego serca — mówił dalej archiwarjusz Lindhorst — to, co ja tu zresztą dość pobieżnie opowiedziałem, może się wam zapewne wydawać warjackiem i głupiem, ale swoją drogą niema w tem ani cienia niedorzeczności, ani też nawet żadnej alegorji, ale dosłowna prawda. Gdybym był wiedział, że tak mało będzie się wam podobała ta wspaniała historia miłosna, której i ja także zawdzięczam swe istnienie, byłbym wam lepiej opowiedział coś niecoś o nowinach, których mi dostarczył mój brat na wczorajszych odwiedzinach.

— Aa, jakto! Więc pan ma brata, panie archiwarjuszu? gdzież on jest? — gdzie mieszka?

Czy także urzędnik królewski, albo może prywatny uczony — zapytano ze wszystkich stron.

— Nie! — odpowiedział chłodno archiwariusz, zażywając niedbale niuch tabaki — on wszedł na złą drogę i przystąpił do smoków.

— Jakże to pan był łaskaw powiedzieć, najszanowniejszy panie archiwariuszu — zabrał głos registrator Heerbrand — do smoków?

— Do smoków? — rozlegało się ze wszech stron, jak echo.

— Tak, do smoków — mówił dalej archiwariusz Lindhorst — była to, właściwie mówiąc, desperacja. Wiadomo wam, moi panowie, że mój ojciec bardzo niedawno umarł, najwyżej trzysta ośmdziesiąt pięć lat temu — i ja dlatego też noszę jeszcze żałobę; otóż on pozostawił mi w spadku jako ulubieńcowi, wspaniały onyx, który brat mój chciał posiadać za wszelką cenę. Przy trupie ojca pokłóciliśmy się o ten klejnot tak bezwstydnie, że nieboszczyk stracił cierpliwość, zerwał się i zrzucił mojego brata ze schodów. Ten zaś tak bardzo to wziął do serca, że „stante pede“ przystąpił do smoków. Obecnie mieszka w jakimś lasku cyprysowym, niedaleko Tunisu, i ma pilnować sławnego mistycznego karbunkułu, na który czatuje jakiś piekielny nekromanta, co bawi na letniem mieszkaniu w La-

ponji; dlatego też brat może zejść z posterunku zaledwie na kwandransik, — kiedy właśnie nekromanta opatruje swe grzedy salamander w ogrodzie — jeżeli mi che przelotnie opowiedzieć, co tam dobrego słyhać u źródeł Nilu.

Po raz drugi obecni wybuchnęli szalonym śmiechem, ale studentowi Anzelmusowi zrobiło się poprostu straszno. Nie mógł spojrzeć w surowe, jakby zeszywniałe oczy archiwariusza Lindhorsta, aby nie zadrzeć do głębi w niepojęty dla niego samego sposób. Chwilami szorstki, ale dziwnie metalicznie brzmiący głos archiwariusza Lindhorsta miał dlań coś tak tajemniczo-wnikliwego, że czuł, jak mu szpik w kościach tężeje.

Zdawało się, że niepodobna będzie już dzisiaj osiągnąć właściwego celu, dla którego registrator Heerbrand zabrał z sobą młodzieńca, do kawiarni. Po owym wypadku przed domem archiwariusza Lindhorsta nie można było w żaden sposób namówić studenta Anzelmusa, aby odważył się pójść tam po raz drugi. Bo według jego najgłębszego przekonania, tylko przypadek ocalił go, jeśli nie od śmierci, to w każdym razie od niebezpieczeństwa pomieszania zmysłów. Konrektor Paulmann przechodził właśnie wtedy przez ulicę, kiedy młodzieniec leżał bez

przytomności przed bramą, a jakaś stara kobieta zajmowała się nim, postawiwszy obok swój koszyk z jabłkami. Konrektor Paulmann sprządził natychmiast nosze i kazał go tak przenieść do domu.

— Można sobie o mnie myśleć, co się podobą — mówił student Anzelmus — można mnie uważać za warjata, albo nie — no, dość, że na młocie przed bramą wykrzywiła się, wyszczerzyła na mnie przekłeta twarz czarownicy zpod Czarnej Bramy; co się potem stało, o tem już woleć wcale nie mówić; ale gdybym, ocuciwszy się z omdlenia, zobaczył przed sobą znowu tę piekielnicę, co jabłka sprzedaje (boć to ona właśnie pochyliła się tam nademną), to w jednej chwili dostałbym jakiegoś ataku sercowego albo pomieszania zmysłów.

Wszystkie namowy, wszelkie rozsądne przedstawienia konrektora Paulmanna i registratora Heerbranda nie doprowadzały do niczego, a nawet niebiesko-oka Weronika nie mogła go wyrwać ze stanu jakiegoś głębokiego zamyślenia, w które się pogrążył. Zaczęto go wreszcie istotnie uważać za chorego umysłowo i szukano sposobów, aby go rozerwać, a co do tego registrator Heerbrand przypuszczał, że najskuteczniejszym tu będzie zajęcie u archiwariusza

Lindhorsta, a mianowicie przerysowywanie rękopisów. Stąd poszło, żeby osobiście przedstawić studenta Anzelmusa archiwariuszowi Lindhorstowi, a ponieważ registrator Heerbrand wiedział, że ten bywa prawie co wieczór w pewnej znanej kawiarni, więc zaprosił studenta Anzelmusa, aby co wieczór tak długo tam zachodził i na jego koszt wypijał przy fajce szklankę piwa, dopóki w ten lub inny sposób nie zaznajomi się z archiwariuszem i nie omówi ostatecznie sprawy przepisywania rękopisów. Student Anzelmus zgodził się na ten projekt z największą wdzięcznością.

— Będzie pan miał zasługę przed Bogiem, szanowny registratorze, jeżeli pan przyprowadzi do rozumu tego młodzieńca — mówił konrektor Paulmann.

— O, tak, zasługę przed Bogiem! — powtarzała Weronika, podnosząc pobożnie oczy ku niebu i myśląc zarazem gorąco, że student Anzelmus już teraz jest przecież bardzo miłym młodzieńcem, nawet bez tego rozumu!

Kiedy więc archiwariusz Lindhorst chciał już właśnie z kapeluszem i laską skierować się ku drzwiom, registrator Heerbrand chwycił szybko studenta Anzelmusa za rękę, i zastępu-

jąc z nim razem drogę archiwarjuszowi, powiedział:

— Najzacniejszy panie tajny archiwarjusz, oto jest student Anzelmus, który pragnie przepisywać pańskie rzadkie rękopisy.

— Nad wyraz mi przyjemnie — odparł szybko archiwarjusz Lindhorst, rzucił na głowę swój trójkątny, żołnierski kapelusz, i usunawszy na bok registratora Heerbranda i studenta Anzelmusa, zbiegł z ogromnym hałasem ze schodów, tak, że obaj stanęli w osłupieniu, wytrzeszczając oczy na drzwi, które im zatrzęsnał przed nosem, aż zawiasy zazgrzytały.

— To jest przecież zupełnie zdumiewający starzec — rzekł registrator Heerbrand.

— Zdumiewający starzec... — wybełkotał za nim student Anzelmus, czując, jak lodowaty strumień mrozi mu wszystkie żyły, tak, że niedłwie skamieniał w nieruchomy posąg.

Ale wszyscy goście śmieli się, mówiąc:

— Pan archiwarjusz był znowu dzisiaj w swoim dziwacznym humorze, jutro zaś pewno będzie łagodny, cichy, nie przemówi ani słowa, będzie patrzył w kłęby dymu swojej fajki lub czytał dzienniki; nie trzeba na to zupełnie zwracać uwagi.

— Tak, to prawda — myślał student An-

zelmus — któżby na to zważał! Czyż archiwarjusz nie powiedział, że mu jest nad wyraz przyjemnie, że ja chcę mu przepisywać rękopisy? — bo i dlaczegoż registrator Heerbrand zastąpił mu drogę właśnie wtedy, kiedy on chciał iść do domu? — Nie, nie, to jest w gruncie rzeczy kochany człowiek ten pan tajny archiwarjusz Lindhorst — i zdumiewająco liberalny — tylko ma dziwaczny sposób rozmawiania. — Wogóle, co mi to szkodzi? — Idę tam jutro punktualnie o dwunastej — i niech się temu sprzeciwi choćby sto przekupek od jabłek — w bronzie!

Wigilia czwarta.

Melancholja studenta Anzelmusa.— Szmaragdowe zwierciadło.— Jak archiwarjusz Lindhorst odleciał jako olbrzymi sęp a student Anzelmus nie napotkał nikogo.

Zapytam chyba poprostu samego ciebie, łaskawy Czytelniku, czyś nie miewał w swem życiu takich godzin, ba! takich dni i tygodni, w których wszystkie Twoje codzienne sprawy wzbudzały w Tobie męczący niesmak i nudę, i w których wszystko, co uważałeś za godne Twych myśli, naraz okazywało się niedorzecznem i marnem? Sam nie wiedziałeś wtedy, co robić i dokąd się zwrócić; pierś napełniało ci jakieś głuche uczucie, że gdziekolwiek, kiedykolwiek bądź musi się spełnić takie marzenie, wobec którego wszelka rokosz ziemski jest niczem, i którego Twój duch, jak trwożliwe, surowo chowane dziecię, nie śmie nawet wypowiedzieć; a w tęsknocie owej za tem

Nieznanem, co niby sen pachnący wszędzie, gdzie tylko byłeś, dokądeś tylko szedł, otaczało Cię przejrzystymi postaciami, rozplywającemi się pod bystrzejszem spojrzeniem, stawałeś się głuchy na wszystko, co Cię otaczało. Mętym wzrokiem patrzałeś wokoło, jak zakochany bez nadziejnie, i całe to barwne ludzkie targowisko, co kotłowało się przed Twemi oczyma, nie sprawiało Ci ani bólu, ani radości, jakbyś już nie należał do tego świata. *Byłem nawiedzony temi niebode-ennymi*

Jeżeliś, miły Czytelniku, przechodził kiedy takie chwile, to znasz już z własnego doświadczenia stan, w który popadł student Anzelmus,

Wogóle chciałbym, aby mi się już teraz udało, uprzejmy Czytelniku, jaknajżywiej przedstawić oczom Twoim studenta Anzelmusa. Bo rzeczywiście, w noc bezsenne, które poświęcam opisywaniu jego niesłychanie dziwnej historii, muszę jeszcze opowiedzieć tyle zdumiewających rzeczy, które, jak upiorne widziadła, wypłoszyły mi życie codzienne zwyczajnych ludzi, że niepokój mnie zbiera, czy wkońcu nie przestaniesz wierzyć zarówno w studenta Anzelmusa, jak i w archiwarjusza Lindhorsta, ba, może nawet poweźmiesz pewne wątpliwości co do konrektora Paulmanna i registratora Heerbranda, chociaż przynajmniej ci dwaj ostatni zacni

mężowie teraz jeszcze przechadzają się po Dreźnie.

Spróbujże więc, uprzejmy Czytelniku, w tem państwie bajecznem, pełnem wspaniałych dziwów, które aż do dna wstrząsają duszę, to błogością najwyższą, to przerażeniem okropnem, ach, tam, gdzie nieubłagana bogini uchyla zasłony, że aż w marzeniu patrzymy w jej oblicze — ale nierzadko uśmiech przebłyśnie w surowem spojrzeniu, i to jest słonecznie drażniący żart, który igra z nami we wszelkich oszałamiających cudach, tak, jak matka przekomarza się z najukochańszymi dziećmi — tak! w tem państwie, które nam duch otwiera tak często — przynajmniej we śnie — spróbuj, uprzejmy Czytelniku wyobrazić sobie poznane już postacie takimi, jakimi ich widzisz koło siebie w codziennem lub, jak to się mówi, w ordynarnem życiu. Uwierzysz wtedy, że całe to wspaniałe państwo, bliższem ci jest, niżes to zwykle przypuszczał — i to właśnie jest mojem najserdeczniejszym pragnieniem, do tego zamierzam w zadziwiającej opowieści o studencie Anzelmusie.

Otóż, jak powiedziałem, student Anzelmus, od owego wieczora, kiedy ujrzał archiwariusza Lindhorsta, popadł w jakąś marzycielską zadumę, która czyniła go zupełnie bezwrażliwym

na wszelkie zewnętrzne objawy zwyczajnego życia. Czuł, jak poruszała mu się w głębinach duszy jakaś moc nieznana i sprawiała ten ból rokoszny, który jest właśnie tęsknotą, co zwiastuje człowiekowi inne, wyższe istnienie. Najmilej mu było, gdy błdził samotnie po łąkach i lasach, kiedy mógł, wolny od wszystkiego, co wiązało go z jego ciężkiem życiem, patrzeć jedno w przeróżne obrazy, wykwitające z głębin swej własnej duszy i odnajdywać w nich siebie samego zarazem.

I zdarzyło się, że raz, wracając tak z jakiegoś dalekiego spaceru, przechodził koło tego szczególnego bzu, pod którym wówczas, jak oczarowany, ujrzał tyle nadzwyczajności; uczuł, że go zdumiewająco przyciąga zielony szmat murawy, lecz zaledwie się tam usadowił, gdy wszystko, co widział wtedy, jakby w niebiańskim zachwycie, i co wyparła mu z duszy jakby obca jakaś siła, zamycało mu znowu przed oczami, jak żywe, jakby zobaczył to po raz drugi. Ba! zdawało mu się jeszcze wyraźniej niż wtedy, że te rokoszne, ciemno-błękitne oczy, należą do złoto-zielonego węża, wysuwającego się z wnętrza bżowego drzewa i że w wijących się skrętach wysmukłego ciała znów zabłysną te precudne dźwięki kryształowych dzwonów, któ-

re go napelniały taką błogością i zachwytem. I tak, jak wówczas w dzień Wniebowstąpienia, objął pień bzu i wołał w gęstwą gałęzi i liści:

— Ach, jeszcze raz cię zobaczyć, cudny, zielony wężyku! jak się przewijasz, jak się przeslizgujesz, jak bujasz wśród gałęzi! Tylko raz na mnie spojrzij swemi rokosznemi oczami! Ach, ja ciebie tak kocham, ja przecież zginę marnie z żalu i boleści, jeżeli nie powrócisz!

Jednakże głucha cisza panowała dokoła — i tylko bez szeleścił gałęziami i liśćmi, całkiem niezrozumiale, jak wówczas.

Lecz studentowi Anzelmusowi zdało się, że już wie, co mu się tak poruszało niepokojąco w głębi duszy, ach, co mu pierś rozdzierało w bólu bezmiernej tęsknoty.

— Czyż może to być co innego — mówił — niż to, że ja cię tak zupełnie, tak całą duszą, tak śmiertelnie kocham, ty precudny, złoty wężyku, że ja bez ciebie nie mogę żyć, że będę musiał zginąć w beznadziejnej nędzy, jeżeli nie zobaczę już ciebie, jeżeli nie będziesz moją, jak ukochana serca mojego, — ale ja wiem, że będziesz moją, a wtedy spełni się wszystko, co zwiastują mi przepiękne marzenia z innego, wyższego świata.

Odtąd student Anzelmus chodził pod bzo-

we drzewo co wieczora, kiedy słońce sypało płomienistym złotem już tylko na wierzchołki drzew, i wołał z głębi piersi najżałośliwszemi tony, w gęstwą gałęzi i liści, za swoją słodką kochaną, za złoto-zielonym wężykiem.

Kiedy pewnego razu czynił to w zwykły sposób, nagle stanął jakiś długi, chudy pan, owinięty szerokim jasno-szarym płaszczem, i zawołał, błyskając nań wielkimi, ognistemi oczyma:

— Hej, hej — a co tam tak jęczy i skomli? Hej, hej, przecież to pan Anzelmus, który chce przepisywać moje rękopisy.

Student Anzelmus niemało się przeraził tego potężnego głosu: bo to był ten sam, który wołał wówczas, w dzień Wniebowstąpienia: Hej, Hej, a cóż to tam za hałasy i gwary? i t. d. Nie mógł słowa wydobyć ze zdumienia i strachu.

— No, cóż panu jest, panie Anzelmus? — mówił dalej archiwarjusz Lindhorst (bo on był właśnie tym panem w białawo-szarym płaszczu). — Czegoż pan chce od tego bzu, i czemuż pan do mnie nie przyszedł rozpocząć swojej pracy?

Istotnie, student Anzelmus nie wymógł jeszcze tego na sobie, by odwiedzić archiwarjusza Lindhorsta w jego mieszkaniu, chociaż co wie-

czór ośmielał się do tego kroku; ale teraz, gdy ujrzał, że mu przerwano jego piękne marzenia, i to jeszcze z przyczyny tego samego wrogiego głosu, który mu już wówczas zabrał ukochaną, ogarnęła go jakaś rozpacz i wybuchnął gwałtownie:

— Panie archiwarjusz! — Może mnie pan uważać za warjata albo nie, to mi wszystko jedno, ale tutaj, na tem drzewie, ujrzałem w dzień Wniebowstąpienia złoto-zielonego węża — ach! tę, na wieki ukochaną mej duszy! — i ona mówiła do mnie precudnemi dźwiękami z kryształu, ale pan — pan, panie archiwarjusz, pan tak okropnie krzyknął i zawołał przez wodę...

— Jakto, mój łaskawco? — przerwał mu archiwarjusz Lindhorst, z bardzo szczególnym uśmiechem zażywając tabaki.

Student Anzelmus czuł, że mu ciężar spadł z piersi, skoro dano mu sposobność raz wreszcie zacząć o tej zadziwiającej przygodzie, i wydało mu się już zupełnie w porządku, że wprost oskarżał archiwarjusza: on właśnie był tym, który wtedy tak zagrzmiął zdaleka. Zebrał się w sobie i rzekł:

— No, to już teraz opowiem wszystkie fatalności, które mi się wydarzyły w wieczór Wniebowstąpienia, a potem może pan sobie mówić

i robić ze mną i wogóle myśleć o mnie, co się panu podoba.

I rzeczywiście, opowiedział całą swą nadzwyczajną przygodę, począwszy od nieszczęśliwego upadku w kosz jabłek, aż do ucieczki trzech złoto-zielonych węzów przez rzekę, oraz jak to go ludzie uważali potem za pijanego lub niespełna rozumu.

— Wszystko to — zakończył student Anzelmus — widziałem na prawdę, i mocnym oddźwiękiem dźwięczą mi jeszcze w głębi piersi te słodkie głosy, które mówiły do mnie; żadną miarą to nie mógł być sen, i jeżeli nie mam umrzeć z miłości i tęsknoty, to muszę wierzyć w złoto-zielone węże, choć widzę z pańskiego uśmiechu, szanowny panie archiwarjusz, że pan uważa właśnie te węże tylko za płód mojej rozgorączkowanej, nadmiernie wybujałej wyobraźni.

— Bynajmniej — odparł archiwarjusz z największym spokojem i zimną krwią — owe złoto-zielone węże, któreś pan widział, panie Anzelmus, w bżowym krzaku, były to właśnie moje trzy córki, no i żeś się pan do niemożliwości zakochał w niebieskich oczach najmłodszej, której na imię Serpentina, — to już teraz chyba rzecz oczywista. Wiedziałem o tem zresztą już

w dzień Wniebowstąpienia, a ponieważ, kiedym siedział u siebie w domu przy pracy, za wiele mi już było tego hałasu i dźwięczenia, więcem krzyknął tym rozpuszczonym dziewczynom, że czas wracać do domu; bo już słońce zachodziło, a one dość już nacieszyły się śpiewem i piciem promieni.

Studentowi Anzelmusowi było, jakby mu wyraźnie i zrozumiale powiedziano to, co on już dawno przeczuwał; i chociaż jednocześnie coś jakby zauważył, że bżowy krzak, mur, darnina i wszystkie przedmioty zaczynały się zwolna obracać wokoło, to jednak skupił się w sobie i chciał coś powiedzieć; ale archiwarjusz nie dał mu przyjść do słowa, lecz szybko ściągnął rękawiczkę z lewej dłoni, i podsunąwszy mu pod oczy błyskający zdumiewającymi iskrami i płomieniami kamień pierścienia, rzekł:

— Patrz no pan tu, drogi panie Anzelmus; możesz się pan ucieszyć z tego, co pan zobaczysz.

Student Anzelmus spojrzał tam — i, o dziwy! Kamień, niby płonące ognisko ciskał promienie wokoło, i te promienie się sprzęgły w świecące, kryształowe zwierciadło, w którem przewijały się na wszystkie strony trzy złoto-zielone węże, to goniąc się, to owijając o siebie,

tańcząc i skacząc. A kiedy te wysmukłe ciała, błyskające tysiącem iskier, zetknęły się z sobą, zadźwięczały wspaniałe akordy, jak dzwony z kryształu, a ze zwierciadła wysunęła się główka, jakby pełna tęsknoty i pożądania, i ciemnobłękitne oczy wyrzekły:

— Poznajesz-że mnie — myślisz-że o mnie, — Anzelmusie? — tylko w wierze jest miłość — ach, czyż ty umiesz kochać?

— O Serpentyne, Serpentyne! — krzyknął student Anzelmus w obłąkanym zachwycie; ale archiwarjusz Lindhorst szybko chuchnął na zwierciadło, i z elektrycznem trzaskaniem wróciły promienie do ogniska, i na ręce lśnił już tylko mały szmaragd, na który archiwarjusz naciągnął rękawiczkę.

— Widziałeś pan złoto-zielone węże, panie Anzelmus? — zapytał archiwarjusz Lindhorst.

— Ach, Boże, tak! — odpowiedział student — i lubą, słodką Serpentyne.

— Cicho! — mówił dalej archiwarjusz Lindhorst — dosyć na dzisiaj! Wogóle, jeżeli byś pan zechciał u mnie pracować, mógłbyś pan dosyć często widywać moje córki, a tem chętniej panu uczynię tę prawdziwą przyjemność, im lepiej pan się będziesz trzymał przy pracy, to znaczy, im dokładniej i chłodniej wypadnie przepi-

sywanie. Ale przecież pan wcale do mnie nie przychodzisz, chociaż pan registrator Heerbrand zapewniał, że pan się zgłosi w najbliższym czasie, — i oto napróżno oczekiwałem przez tyle dni.

Kiedy tak archiwarjusz Lindhorst wymówił nazwisko Heerbranda, student Anzelmus doznał wrażenia, że znowu naprawdę stoi obydwoma nogami na ziemi, i że on jest naprawdę studentem Anzelmusem, a stojący przed nim mężczyzna — archiwarjuszem Lindhorstem. Obojętny, jakim ten ostatni przemawiał, miał w sobie, w jaskrawem przeciwieństwie do zdumiewających zjawisk, które jak prawdziwy czarodziej wywoływał, coś przerażającego, a wrażenie to powiększał jeszcze świdrujący wzrok iskrzących się oczu, które promieniowały z kostnych czeluści chudej, pomarszczonej twarzy, jak z wnętrza muszli jakiejś, i studenta Anzelmusa ogarnęło potężnie to samo niepokojące straszne uczucie, które owładnęło nim już raz w kawiarni, kiedy archiwarjusz opowiadał tyle dziwacznych rzeczy. Z trudnością zdołał się jako tako opanować, i kiedy archiwarjusz zapytał raz jeszcze — „no i dlaczegoś pan nie przychodził?” — przemógł się na tyle, że opowiedział o wszystkim, co mu wydarzyło się pod bramą.

— Kochany panie Anzelmus! — rzekł archiwarjusz, skoro student ukończył swoje opowiadanie — kochany panie Anzelmus, ja dobrze znam tę kobietę od jablek, o której pan byleś łaskaw mówić; to jest fatalna kreatura, która płata mi przeróżne figle, a że teraz ubronzowała się, aby jako młot u drzwi odpędzać miłych mi gości, to jest istotnie nie do zniesienia. Ale możebyś pan był tak dobry, szanowny panie Anzelmus, kiedy pan przyjdiesz do mnie jutro o dwunastą i znowu zauważysz coś z tego wykrzywiania się i zgrzytania, skropić jej trochę nos odrobiną tego płynu; wtedy wszystko odrazu będzie w porządku. A teraz, adieu! — Kochany panie Anzelmus, muszę pójść nieco szybciej, więc już pana nie namawiam, abyśmy razem wrócili do miasta. Adieu! do widzenia, jutro o dwunastą.

Archiwarjusz dał studentowi Anzelmusowi mały flakonik z jakąś złotożółtą cieczą i tak szybko odszedł, że w głębokim zmroku, jaki zapadł tymczasem, zdawał się raczej spływać w dolinę, niż schodzić. Już był niedaleko ogrodu Kozel, kiedy wiatr wydał szeroki płaszczy i rozdzielił goły, tak, że trzepotały się w powietrzu, jak dwa ogromne skrzydła, a studentowi Anzelmusowi, który patrzył za nim ze zdziwieniem,

zdawało się, że to wielki ptak, rozpościera skrzydła do szybkiego lotu.

A kiedy tak student wpatrywał się w zmrok, podniósł się wysoko z przeraźliwym krakaniem jakiś białawo-szary sęp, i młodzieniec doskonale zauważył, że to białawe ptaszysko, które brał ciągle za odchodzącego archiwarjusza, musiało być właśnie owym sępem, chociaż znów nie mógł zrozumieć, gdzie podział się naraz archiwarjusz.

— No, ale on mógł równie dobrze stąd odlecieć sam, we własnej osobie, ten pan archiwarjusz Lindhorst — rzekł do siebie student Anzelmus — bo ja przecież teraz widzę i czuję doskonale, że wszystkie te obce postacie z dalekiego, bajecznego świata, którem widywał tylko w szczególnych nadzwyczajnych snach, wstały teraz w moje rzeczywiste życie na jawie i wciągnęły mnie w swoją grę. — Ale niech tam będzie, co chce! Ty żyjesz i płoniesz w mej piersi, słodka, najmiłsza Serpentyo, Ty tylko możesz uciszyć tę bezmierną tęsknotę, która mi duszę rozdziera. Ach! kiedyż będę patrzył w Twoje rokoszne oczy, ukochanie ty moje, Serpentyo!—

Tak zawołał student Anzelmus na cały głos.

— To jest paskudne, niechrześcijańskie i-

mię — mruknął tuż obok niego jakiś głos basowy, należący do wracającego ze spaceru przechodnia.

Student Anzelmus, w porę przypomniawszy sobie, gdzie był, uszedł stamtąd coprędzej, myśląc w głębi duszy:

— Czyżby to nie było prawdziwe nieszczęście, gdyby mnie tak teraz spotkał konrektor Paulmann, albo registrator Heerbrand!

Ale nie spotkał żadnego z nich obydwuch.

Wigilja piąta.

Pani Anzelmusowa, radczyni dworu.—Cicero de officiis.
—Koczkodony i inne gałgafstwo.—Stara Elżbieta. — Aequinoctium.

— Doprawdy, że z tym Anzelmusem to nie można teraz dojść do ładu w żaden żywy sposób — mówił konrektor Paulmann — wszystkie moje nauki i napomnienia to groch o ścianę, nic mu się nie chce robić, chociaż posiada jaknajlepsze studja szkolne, które są przecież podstawą wszystkiego.

Ale registrator Heerbrand odpowiedział, uśmiechając się przebiegle i tajemniczo:

— Zostaw-że pan Anzelmusowi trochę czasu, najszanowniejszy konrektorze, to jest dziwny jegomość, ale w nim siedzi wiele, a jeżeli mówię: wiele, to znaczy: sekretarz tajny, albo może nawet radca dworu.

— Rad.... — zaczął konrektor w najwyż-

szem zdumieniu. Wyraz ten ugrzązł mu w gardle.

— Cicho, cicho — mówił dalej registrator Heerbrand — co wiem, to wiem! On już od dwóch dni siedzi u archiwariusza Lindhorsta i przepisuje, a archiwariusz powiedział mi wczoraj wieczorem w kawiarni: „Polecieś mi pan, drogi panie, dzielnego młodzieńca, z którego będą ludzie.“ — No, a teraz zastanów się pan nad stosunkami archiwariusza — cicho — cicho — pomówimy o tem po roku!

Z temi słowy pan registrator, wciąż uśmiechając się przebiegle, otworzył drzwi i wyszedł, pozostawiając ogłuszonego ze zdumienia i ciekawości konrektora, przykutego do krzesła.

Ale na Weronikę rozmowa ta podziałała w całkiem odrębny sposób.

— Czyż ja niezawsze wiedziałam — myślała — że pan Anzelmus jest bardzo rozsądnym, bardzo miłym młodzieńcem, z którego jeszcze jakaś wielkość wyrośnie? Żebym tylko wiedziała, że on mi naprawdę sprzyja! — Ale czyż on mnie nie ścisnął dwa razy za rękę, tego wieczora, kiedyśmy jechali po Elbie? Czyż nie patrzył się na mnie podczas duetu takim szczególnym wzrokiem, który aż w serce prze-

nikał. Tak, tak, on mi naprawdę sprzyja — a ja...—

Tu Weronika, jak to zwykle młode dziewczęta, oddała się całkowicie słodkim marzeniom o różowej przyszłości. Była panią radczynią dworu, mieszkała w pięknym domu przy ulicy Zamkowej, albo przy Nowym Rynku, albo przy ulicy Maurycego — w modnym kapeluszu i nowym, tureckim szalu było jej bardzo do twarzy. Jadła śniadanie w eleganckim negliżu, na ganku, wydając odpowiednie rozporządzenia dziennym kucharcze. „Ale nie zepsuj-że mi panna tego dania, bo to ulubiona potrawa pana radcy dworu!“ — Przechodzący eleganci strzelają oczami w górę, ona słyszy wyraźnie: „Jakaż to boska kobieta ta pani radczyni dworu, jakże jej ślicznie w tym koronkowym czepku!“ — Pani tajna radczyni. Ypsilon posyła służącego z zapytaniem, czy pani radczyni dworu nie życzyłaby sobie pojechać dziś do Linka? — „Proszę bardzo się kłaniać, pani, jest mi nieskończenie przykro, ale jestem już proszoną na herbatę do prezydenta Tz.“ — Tu wraca pan radca dworu Anzelmus, który już bardzo wcześniej wyszedł za interesami; ubrany jest według ostatniej mody; „Doprawdy, już dziesiąta“ — woła, patrząc na złoty zegarek i całując żonę —

„cóż tam słyhać, żonusię najdroższa, a czy ty wiesz, co ja dla ciebie mam?“ — dodaje filuternie i wyciąga z kieszeni od kamizelki parę wspaniałych kolczyków, zrobionych według ostatnich wzorów, i zawiesza jej zamiast tych, jakie zwykle nosiła.

— Ach, jakie śliczne, zgrabne kolczyki! — woła Weronika na cały głos i zrywa się z krzesła, porzucając robotę, aby rzeczywiście zobaczyć w lustrze te kolczyki.

— He? a toż co znowu? — rzekł konrektor Paulmann, który, zagłębiany w „Cicero de officiis“, omal że nie upuścił książki — takie same napady, jak u Anzelmusa.

Ale wtem właśnie wszedł do pokoju student Anzelmus, który, wbrew zwyczajowi, nie pokazywał się od dni kilku, a Weronikę ogarnął strach i zdumienie, bo rzeczywiście był zmieniony w całym swoim jestestwie. Mówił z pewną stanowczością, której nie miał nigdy, o niespodziewanym zwrocie, jaki zaszedł w jego życiu, o wspaniałych widokach, jakie mu się otworzyły, ale których niejedną nie potrafiłby nawet dostrzedz.

Konrektor Paulmann, przypominając sobie tajemnicze przepowiednie registratora Heerbranda, był jeszcze bardziej zmieszany i ze zdumie-

nia nie mógł słowa wykrztusić, kiedy student Anzelmus, rzuciwszy jeszcze kilka słów o bardzo pilnej robocie u archiwarjusza Lindhorsta i pocałowawszy z wytworną elegancją rękę Weroniki, zbiegł z schodów, i tyle go widziano.

— To był już radca dworu — szepnęła do siebie Weronika — i pocałował mnie w rękę, nie pośliznąwszy się przytem, ani nie nastąpiwszy mi nawet na nogę, jak zwykle! — rzucił mi bardzo tklive spojrzenie — on mi naprawdę sprzyja.

Weronika na nowo oddała się owym marzeniom, lecz teraz coś, jakby jakaś wroga postać, wstępowała ustawicznie między lube zjawiska, gdy one wysnuwały się z przyszłego życia domowego tej pani radczyni dworu — i postać ta śmiała się szyderczo i mówiła: „przecież to wszystko są wierutne, ordynarne głupstwa, a przytem skłamane, bo pan Anzelmus nie będzie nigdy radcą dworu, ani twoim mężem; przecież on ciebie nie kocha, chociaż masz niebieskie oczy i wysmukłą postać i kształtną rękę.

Lodowaty strumień zmroził duszę Weroniki, a głębokie przerażenie zniszczyło całą błogość, z jaką widziała się jeszcze przed chwilą w koronkowym czepku i eleganckich kolczy-

kach. Omal, że łzy nie rzuciły się jej z oczu, i powiedziała głośno:

— Ach, przecież to prawda, on mnie nie kocha, i ja nigdy już nie będę panią radczynią dworu!

— Romansowe brednie! — krzyknął konrektor Paulmann, wziął kapelusz i laskę i w złości wyszedł szybko.

— Tego jeszcze brakowało — westchnęła Weronika, i bardzo jej było markotno z powodu dwunastoletniej siostry, która siedziała przy swoich krosienkach, nie okazując żadnego współczucia, i w dalszym ciągu haftowała sobie.

Tymczasem zbliżała się już godzina trzecia, a zarazem czas, aby posprzątać w pokoju i przygotować wszystko do kawy; bo właśnie panny Oster zapowiedziały przyjaciółce swe odwiedziny. Lecz zpoza każdej szafeczki, którą Weronika przesuwiała, zpoza książek z nutami, które sprzątała z fortepianu, zza każdej filiżanki, zza imbryka od kawy, zza każdej rzeczy, którą wyjmowała z szafy, owa postać wyskakiwała jak chochlik i śmiała się szyderczo i biła prztyczki małemi pajęczemi paluszkami i krzyczała: to nie będzie twój mąż—to nie będzie twój mąż!— A potem, gdy Weronika, porzuciwszy wszystko, uciekła na środek pokoju, wyrzało to z długim

nosem, olbrzymie, zza pieca i zamruczało i zawarczało: To nie będzie twój mąż!

— Siostró, czyż ty nic nie słyszysz, czyż ty nic nie widzisz? — krzyknęła Weronika, która niczego już nie mogła się dotknąć ze strachu, trzęsąc się cała.

Frania wstała bardzo poważnie i spokojnie od swoich krosienek i rzekła:

— Co ci się dzisiaj stało, siostró? Ciskasz wszystko jedno na drugie, że aż klekocze i brzęka, muszę ci pomóc.

Ale tu weszły już z głośnym śmiechem, wesołe panienki, i w tej samej chwili Weronika uświadomiła sobie, że wzięła fryz od pieca za jakąś postać, a skrzywienie źle zamkniętych drzwi za nieprzyjazne słowa. Jednakże, przerażona do głębi, nie mogła jeszcze tak zaraz przyjść do siebie, żeby przyjaciółki nie zauważyły jej niezwykłego usposobienia, które zdradzała już sama jej bladość i twarz zmieniona. Skoro więc, przerywając opowiadanie o wszystkich wesołych rzeczach, które miały na myśli, napadły na przyjaciółkę, co ją też na Boga Ojca, spotkała za przykrość, Weronika musiała wyznać, jak to oddała się pewnym całkiem niezwykłym dumaniom, i jak ją nagle ogarnęła, w biały dzień, jakaś szczególna trwoga przed duchami, co jej

się nigdy nie zdarzało. I tak żywo opowiedziała, jak to ze wszystkich kątów pokoju jakiś maleńki, szary człowieczek drażnił ją i wydrwiwał, że panny Oster oglądały się trwożnie na wszystkie strony, i wnet zrobiło się im jakoś nieswojo, a nawet wprost strasznie. Dopiero, gdy weszła Frania z dymiącą kawą, wszystkie trzy oprzytomniały i śmiały się z własnej bezmyślności.

Anieli—tak nazywała się najstarsza panna Oster—była zaręczoną z jakimś oficerem, który należał do armii czynnej, i o którym tak dawno już wszelki słuch zaginął, że nie można już było wątpić o jego śmierci lub co najmniej o jego ciężkim poranieniu. To pograżyło Anielę w głęboki smutek, ale dzisiaj była wesołą aż do pustoty, co Weronikę niemało zdziwiło, i wyraziła też jej to bez ogródek.

— Moja droga — rzekła Anieli — czyż ty nie wierzysz, że ja wciąż noszę mojego Wiktora w mem sercu, w mej duszy i w myślach moich? ale też właśnie dlatego jestem tak wesołą! — Ach, Boże! — tak szczęśliwą, taką błogość uczuwam w całej swojej istocie! bo mój Wiktor ma się dobrze, zobaczę go już niezadługo jako rotmistrza, ozdobionego orderami, które zdobył, dzięki swej bezgranicznej waleczności. Silna, ale wcale nie niebezpieczna

rana prawej ręki, od szabli huzara nieprzyjacielskiego, nie pozwala mu pisać, a szybka zmiana miejsca, ponieważ on nie chce w żaden sposób opuścić swego pułku, uniemożliwia mu wciąż jeszcze przysyłanie mi wiadomości o sobie; ale dzisiaj wieczorem ma otrzymać stanowczy rozkaz, by się wprawdzie zupełnie wyleczył. Jutro wyjeżdża, aby się stawić tutaj, a kiedy będzie chciał wsiadać do powozu, dowie się o mianowaniu go rotmistrzem.

— Ależ kochana Anielciu — przerwała jej Weronika — skądże o tem wszystkim już teraz się dowiedziałaś?

— Nie wyśmiewaj się ze mnie, kochana przyjaciółko — mówiła dalej Aniela — chociaż tego chyba nie zrobisz, bo czyż za karę nie mógłby ci wyjrzeć tam zza tego lustra, ów mały, szary człowieczek? — Dość, że ja nie mogę się uwolnić od wierzenia w pewne tajemnicze rzeczy, ponieważ one bardzo często wstępowały w moje życie zupełnie widocznie, — mogłabym powiedzieć, że dotykalnie. Zresztą bynajmniej nie wydaje mi się tak dziwnem i niepojętem, jak nieraz innym, że mogą istnieć ludzie, obdarzeni pewnym darem jasnowidzenia, który potrafią pobudzać do działania za pomocą znanych im niezawodnych środków.

Jest tutaj niedaleko pewna stara kobieta, która ów dar posiada w wysokim stopniu. Nie wróży ona tak, jak inne jej koleżanki po fachu, z kart, roztopionego ołowiu, lub fusów od kawy; ale po pewnych przygotowaniach, w których uczestniczy również zapytująca osoba, ukazuje się w lśniaco-wypolerowanym zwierciadle jakaś zdumiewająca mieszanina rozmaitych figur i postaci, które stara tłumaczy, i z nich tworzy odpowiedź na dane pytanie. Byłam u niej wczoraj wieczór i otrzymałam owe wiadomości o moim Wiktorze, w których prawdziwość nie wątpię ani na chwilę.

Opowiadanie Anieli roznieciło w sercu Weroniki iskry, która wnet zapaliła myśl zapytania starej o Anzelmusa i o własne dzieje. Dowiedziała się, że stara nazywa się pani Rauerin, że mieszka przy odludnej ulicy przed bramą Morską, że można ją zastać tylko we wtorki, środy i piątki, od siódmej wieczorem, potem już jednak przez całą noc aż do wschodu słońca, i że lubi, kiedy się do niej przychodzi samej.

Była właśnie środa, i Weronika postanowiła pójść do starej, pod pozorem odprowadzenia Osterówien, co też istotnie wykonała. I zaledwie pożegnała się z przyjaciółkami, które mieszkały na Nowem Mieście, już przed mostem na

Elbie, wnet pomknęła szybko przed bramę Mor-ską i znalazła się wkrótce w owej odludnej, wązkiej uliczce, przy której końcu ujrzała mały, czerwony domek, w jakim miała mieszkać pani Rauerin. Nie mogła się obronić od dziwnego trwożnego niepokoju, ani wprost od wewnętrznego drżenia, kiedy stanęła przed drzwiami tego domku. Wreszcie, nie zważając na odpychające uczucie, przemogła się i pociągnęła za dzwonek, na co drzwi się otworzyły, i ona, drepcząc po ciemnym korytarzu, omackiem dążyła ku schodom, prowadzącym na piętro, jak to objaśniła Aniela.

— Czy tu nie mieszka pani Rauerin? — zawołała w głębie pustej sieni, skoro się nikt nie ukazywał; na to, zamiast odpowiedzi, rozległo się donośne, przeciągłe „miau“ — i oto ogromny, czarny kocur z wysoko wygiętym grzbietem, wiejąc w falistych skrętach ogonem tu i tam, stapał przed nią uroczyście, aż do samych drzwi pokoju, które na drugie „miau“ otworzone.

— Ach, patrzajno córuchno, już jesteś tu? — wejdźże — wejdź!

Tak zawołała wychodząca z pokoju postać, której widok przygwoździł Weronikę do podłogi. Długa, chuda kobieta, owinięta czarnymi gał-

ganami! Kiedy mówiła, chybotła się jej wystająca, ostra broda, przeciągała się, wykrzywiła, bezzębna gęba, ocieniona kościstym jastrzębim nosem, w małpio szyderczy uśmiech, a świecące, kocie oczy błyskały, ciskając iskry, przez wielkie okulary. Z pstrej, owiniętej koło głowy chuścicy wysterczały szczecinowate włosy, ale do ohydy podnosiły tę wstrętą twarz dwie wielkie oparzelizny, które plamiły lewy policzek, wchodząc na nos.

Weronice oddech zaparło, a krzyk, który miał ulżyć zaciśniętej piersi, stał się głębokiem westchnieniem, skoro koścista dłoń czarownicy chwyciła ją i wciągnęła do pokoju. A tam się wszystko ruszało i kotłowało, kwiczało, miauczało, skrzeczało i piszczalo jedno przez drugie, że aż się w głowie mąciło.

Stara uderzyła pięścią w stół i krzyknęła:

— Cicho, wy tam, hołota!

I koczkodany powłaziły, skowycząc, na wysoką kotarę nad łóżkiem, a świnki morskie pobiegły pod piec, a kruk się trzepotał na okrągłym lustrze; tylko czarny kocur, jakby go nic nie obchodziły obelżywe wymysły, siedział dalej spokojnie na ogromnem, miękkim krześle, na które wskoczył, skoro tylko wszedł.

Kiedy tak się uciszyło, Weronika nabrała

otuchy; nie było już jej tu tak strasznie, jak tam, w sieni, a nawet kobieta nie wydawała się już jej tak odrażającą. Teraz dopiero rozejrzała się po pokoju.

Najrozmaitsze, obrzydliwe, wypchane zwierzęta zwieszały się z powały, jakieś najszczerólniejsze nieznane przedmioty stosami zaścielały podłogę, a na kominie płonął skromny, błękitny ogień, który tylko od czasu do czasu trzaskał żółtymi iskrami; ale wtedy szeleściło coś zgóry na dół, i wstrętne nietoperze, jakby z wykrzywionemi, śmiejącemi się ludzkimi twarzami, latały tu i owdzie, a chwilami płomienie lizały zaczerniony sadzami mur, i wtedy rozlegały się przeraźliwe, wyjące jęki, tak, że Weronikę ogarniała trwoga i przerażenie.

— Za pozwoleniem, panienczko — rzekła stara z przymileniem, chwyciła ogromną kیتę i zmaczawszy ją w wielkim, miedzianym kotle, pokropiła komin. Na to ogień zagasnął i pokój jakby naraz napelnily gęste dymy, zrobiło się ciemno, choć oko wykol. Ale wnet stara, która wyszła do jakiejś komórki, wróciła z zapaloną świecą, i Weronika nie zobaczyła już ani śladu zwierząt, ani owych dziwacznych przedmiotów, był to zwyczajny, nędznie urządzony pokój.

Stara podeszła do niej bliżej i rzekła charakterczym głosem:

— Wiem doskonale, czego ty chcesz ode mnie, moja córuchno; chciałybyś się koniecznie dowiedzieć, czy będziesz żoną Anzelmusa, kiedy on zostanie radcą dworu!

Weronika skamieniała ze zdumienia i strachu, ale stara mówiła dalej.

— Przecieżś powiedziała mi wszystko w domu u papy, kiedy stał przed tobą imbryk od kawy, ja byłam przecież tym imbrykiem, cóżś mnie nie poznała? Córuchno, słuchaj! Odsuń się, odsuń, od tego Anzelmusa, to jest brzydki człowiek, on moim synkom nadeptał na twarz, moim kochanym synkom, jabłuszkom o rumianych policzkach, które, skoro je ludzie kupią, wytaczają się im z kieszeni napowrót do mego kosza. On trzyma ze starym; on mi onegdaj oblał twarz tym przeklętym auripigmentem, żem z tego o mało nie oślepla, możesz jeszcze zobaczyć oparzelizny, córuchno! Odsuń się od niego, odsuń się! — On ciebie nie kocha; bo on kocha złoto-zielonego węża, on nigdy nie będzie radcą dworu, bo on się umieścił u salamandrów i chce poślubić złoto-zielonego węża, odsuń się od niego, odsuń się!

Weronika, która miała właściwie mężne ser-

ce i szybko potrafiła opanować strach dziewczęcy, odstała na krok w tył i rzekła poważnym, skupionym tonem:

— Stara! słyszałam o waszym darze patrzenia w przyszłość i chciałam dlatego, może zbyt ciekawie i przedwcześnie, dowiedzieć się od was, czy Anzelmus, którego kocham i wysoko cenię, będzie kiedykolwiek moim. Jeżeli więc chcecie, zamiast uczynić zadość mojemu życzeniu, drażnić mnie waszem warjackiem i nedorzecznym gadaniem, to źle robicie; bo ja chciałam od was tylko tego samego, coście uczynili już innym, o ile wiem. Ponieważ znacie, jak się zdaje, moje najtajniejsze myśli, to może łatwoby wam poszło odkryć mi coś z tego, co mnie teraz dręczy i niepokoi, ale po waszych nedorzecznych potwarzach na dobrego Anzelmusa nie mogę już dowiadywać się od was niczego. Dobranoc!

Weronika chciała wyjść, ale stara upadła z płaczem i jęczeniem na kolana i zawołała, trzymając mocno dziewczę za suknię:

— Weronisiu, więc ty już nie chcesz znać starej Elżbiety, która cię tak często nosiła na ręku, i pielęgnowała cię, i pieściła?

Weronika zaledwie że uwierzyła własnym oczom; gdyż poznała swoją dawną, tyle tylko, że zmienioną przez wiek podeszły, a szczególnie

przez oparzelizny, piastunkę, która przed wielu laty zniknęła z domu konrektora Paulmanna. Stara wyglądała też teraz zupełnie inaczej, miała zamiast owej brzydkiej, pstrej chuścicy poważny czepiec, a zamiast czarnych gałganów—kaftan w wielkie kwiaty, jak to wówczas zwykle nosiła. Wstała z podłogi i mówiła dalej, biorąc Weronikę w objęcia:

— To wszystko, co ci powiedziałam, może ci się zapewne wydawać warjactwem, ale pomimo to, niestety, to jest tak. Anzelmus wiele mi złego narobił, chociaż mimowoli; on wpadł w ręce archiwarjusza Lindhorsta, a ten chce go ożenić z swoją córką. Archiwarjusz jest moim największym wrogiem, i mogłabym ci różne rzeczy o nim opowiedzieć, którychbyś jednak nie zrozumiała lub bardzo się ich przeraziła. To jest mądry mąż, ale jam mądra niewiasta — niechże i tak będzie! — No, ale widzę teraz, że Anzelmus ci jest bardzo miły, a ja ci chcę wszystkimi siłami dopomóc, żebyś była szczęśliwą, żebyś należała do niego i weszła do jego małżeńskiego łóża, jak tego sobie życzysz.

— Ależ na miłość Boską, niechże mi Elżbieta powie!.. — wtrąciła Weronika.

— Sza... dziecko—sza! — przerwała jej

stara — wiem, co mi chcesz powiedzieć, stałam się tem, czem jestem, ponieważ musiałam się tem stać, nie mogłam inaczej. No więc! — znam środek, który wyleczy Anzelmusa z głupiej miłości do zielonego węża i poprowadzi go w twoje objęcia, jako najmilszego z radców dworu; ale musisz mi pomódz!

— Powiedzże mi to tylko odrazu, Elżbie-to! — ja wszystko zrobię; bo ja bardzo kocham Anzelmusa! — wyszeptala ledwo dosłyszalnie Weronika.

— Znam ciebie — mówiła dalej stara — jako dziewczynę z sercem, napróżno chciałam cię zmusić do snu przy pomocy Wauwau; gdyż właśnie wtedy otwierałaś oczy, aby zobaczyć Wauwau; chodziłaś do ostatniego pokoju bez świecy i często przerażałaś w pudermantlu ojca dzieci sąsiada. No więc, jeśli naprawdę chcesz zwyciężyć z pomocą mej sztuki archi-warjusza Lindhorsta i zielonego węża, jeśli naprawdę chcesz nazywać Anzelmusa, jako radcę dworu swoim mężem, to wymknij się z domu ojca w przyszłą noc porównania dnia z nocą, o godzinie jedenastej i przyjdź do mnie; pójdę z tobą wtedy na rozstajne drogi, przecinające nasze pole, przyrządzimy tam, co potrzeba, a nie powinny ciebie niepokoić wszystkie dziwy,

które tam może zobaczysz. A teraz, córucho, dobranoc, papa już czeka z kolacją.

Weronika wyszła pośpiesznie, postanowiła sobie z całą mocą dobrze pamiętać o nocy *aequinoctium*, „ponieważ — myślała — Elżbieta ma słuszość, Anzelmus zaplątał się w jakieś tajemnicze związki, ale ja wydrę go stamtąd i nazwę go moim nazawsze i na wieki; moim jest i moim pozostanie radca dworu, Anzelmus.“

Wigilja szósta.

Ogród archiwarjusza Lindhorsta i niektóre drwjące ptaki.—Złoty garnek.—Angielska kursywa.—Książę duchów.

— A jednak i to być może — mówił do siebie student Anzelmus — że ta wyborna, mocna żołądkówka, którą wypilem nieco łakomie u monsieur Conradiego, wytworzyła te wszystkie warjackie przywidzenia, które dręczyły mnie przed bramą domu archiwarjusza Lindhorsta. Dlatego też będę dzisiaj zupełnie trzeźwy i postaram się śtawić czoło wszystkim przeciwnościom, które mogą mi stanąć na drodze.

Tak jak wówczas, kiedy przygotowywał się do pierwszych odwiedzin u archiwarjusza Lindhorsta, zapakował swoje rysunki piórkowe i artystyczne dzieła kaligraficzne, swoje pałeczki tuszu, swoje świetnie zatemperowane pióra i chciał wychodzić, kiedy wpadła mu w oczy ta flaszeczka z żółtym płynem, który otrzymał od

archiwarjusza Lindhorsta. I naraz wszystkie nadzwyczajne przygody, które przeżył, w palących barwach przeszły mu przez głowę i niepojęte uczucie rokoszy i bólu zacisnęło mu piersi. Mimowoli wykrzyknął głosem pełnym tęsknoty:

— Ach, czyż ja nie poto tylko idę do archiwarjusza, aby ciebie zobaczyć, słodka, najmiłsza Serpentyno?

Zdało mu się w owej chwili, że miłość Serpentyń miała być jakby nagrodą za jakąś moźolną, niebezpieczną pracę, którą on musiał wykonać, a pracą tą miało być właśnie przepisywanie rękopisów Lindhorsta.

Że znowu mogły mu się wydarzyć najrozmaitsze nadzwyczajności przy wejściu do owego domu, a jeszcze prędzej przed domem — w to nie wątpił. Nie myślał już więcej o żołądkówce Conradiego, ale szybko włożył flakonik z żółtą cieczą w kieszonkę od kamizelki, aby postąpić ściśle wedle wskazówek archiwarjusza, jeżeliby ubronzowana kobieta od jabłek znowu zaczęła mu się wykrzywiać z swej zasadzki.

I rzeczywiście, czyż nie podniósł się natychmiast spiczasty nos, czyż nie rozbłysły wnet kocie oczy z młota u ubramy, skoro chciał go uchwycić z uderzeniem dwunastej?

Na to, nie wiele myśląc, prysnął żółtym płynem wprost w tę przekłętą twarz, a ona wygładziła się i rozplaszczyła natychmiast w błyszczący, kulisty młot. Brama otworzyła się, dzwony prześlicznie zadźwięczały na cały dom: — dźwięki — brzęki — wnijdź, młodzieńki — tobie dźwięki — tobie brzęki. —

Pełen otuchy wchodził na piękne, szerokie schody i napawał się zapachem rzadkich kadzideł, unoszących się po całym domu. W sieni przystanął w niepewności: nie wiedział, do których z wielu pięknych drzwi zapukać; ale tu wszedł archiwarjusz Lindhorst w szerokim, adamaszkowym szlafroku i zawołał:

— Ciesz się mnie to, panie Anzelmus, że pan nareszcie dotrzymujesz słowa, pójdź-no pan za mną, muszę przecież pana zaraz zaprowadzić do laboratorium.

I przeszedłszy szybko przez drugą sień, otworzył małe, boczne drzwiczki, prowadzące na korytarz. Anzelmus postępował za nim pełen najlepszych myśli; tak weszli z korytarza do jakiejś sali, a raczej do wspaniałej cieplarni: bo z obydwu stron wznosiły się aż do powały najróżnorodniejsze, rzadkie, zadziwiające rośliny kwieciste, ba, nawet wielkie drzewa ze szczególnie ukształtowanymi liśćmi, kwiatami. Magiczne,

ośniewające światło rozpylało się naokół, chociaż nie można było zauważyć, skąd wypływało, bo nie widać było nigdzie żadnego okna. A kiedy student Anzelmus wpatrywał się między krzaki i drzewa, rozprzestrzeniały się jakby długie chodniki w daleką dal.

W głębokiej ciemni cyprysowych krzewów lśniły marmurowe cysterny, z których wznosiły się jakieś dziwne figury, wypryskując kryształowe promienie, które padały z pluskaniem w świecące kielichy lilji; nadzwyczajne szelesty, szумы i gwary wypełniały ten las zdumiewających roślin, a wspaniałe zapachy przepływały we wszystkich kierunkach. Archiwarjusz gdzieś zniknął, i Anzelmus ujrzał tylko jakiś olbrzymi brząsk płomienistych lilji przed sobą. Odurzony tym widokiem, temi słodkimi zapachami bajecznego ogrodu, Anzelmus przystanął, oczarowany. A wtedy zaczęło coś wszędzie chichotać i śmiać się, a cienkie głosiki przekomarzały się i wydrwiwały:

— Panie student, panie student! Gdzieżeś to pan wlaź? Coś się pan tak ślicznie ubrał, panie Anzelmus? — Możebyśmy trochę pogadali z sobą, jak to babcia rozgniotła zadkiem jajko, a Staś zrobił plamę na niedzielnej kamizelce? Umiesz pan już na pamięć tę nową arję,

której się nauczyłeś od papy Starmatza, panie Anzelmus? — Strasznie śmiesznie pan wyglądasz w tej szklanej peruce i butach sztylpowych z pocztowego papieru!

Tak wołało i chichotało i drażniło się ze wszystkich kątów, tuż obok studenta, który spostrzegł dopiero teraz, że otoczyły go roje najrozmaitszych barwistych ptaków i wyśmiewały się z niego w najlepsze.

Tymczasem krzak płomienistych lilji podszedł ku niemu — i student zobaczył, że to był archiwarjusz Lindhorst i że złudził go tylko jego kwiecisty szlafrok, mieniający się żółtymi i czerwonymi barwami.

— Wybacz pan, drogi panie Anzelmus — powiedział archiwarjusz — żem pana pozostawił samego, ale przechodząc, zajrzałem tylko do mojego pięknego kaktusa, który ma tej nocy zakwitnąć — ale jakże się panu podoba mój ogródek domowy?

— Ach, Boże! tu jest tak pięknie, że nie umiem wypowiedzieć, najszanowniejszy panie archiwarjusz — odpowiedział student — ale te ładne ptaki zanadto już kpią sobie ze mnie biednego!

— Cóż to za jakaś paplanina? — zawołał z gniewem archiwarjusz w gęstwinę krzaków.

Na to wyfrunęła stamtąd ogromna szara papuga, siadła koło archiwarjusza na gałęzi myrtu i patrząc nań niezwykle poważnie i uroczyście przez wielkie okulary, siedzące jej na zakrzywionym dziobie, zaskrzeczała:

— Niech pan się o to nie gniewa, panie archiwarjusz, rzeczywiście, te łobuzy znowu się bardzo rozpuściły, ale pan student sam sobie winien, bo...

— Cicho-no, cicho! — przerwał staremu ptakowi archiwarjusz — ja znam tę szelmę, ale trzeba jej było lepiej pilnować, mój przyjacielu! — idźmy dalej, panie Anzelmus!

Archiwarjusz szedł jeszcze przez rozmaite, dziwacznie przybrane pokoje, a student ledwie że mógł za nim nadążyć i chociaż rzucić okiem na wszystkie te wspaniałe sprzęty o szczególniejszych kształtach i na różne nieznane przedmioty, któremi wszystko tam było przepelnione. Wkońcu weszli do jakiejś wielkiej komnaty, w której archiwarjusz przystanął z wzrokiem, skierowanym w górę, i stąd Anzelmus miał czas się nacieszyć wspaniałym widokiem, jaki przedstawiały proste ozdoby tej sali. Z lazuruowo-błękitnych ścian występowały złoto-bronzone pnie wysokich palm, których olbrzymie liście, lśniąco nakształt płomienistych szmaragdów, sklepiły

się aż gdzieś pod powalą; w środku komnaty spoczywała na trzech lwach egipskich, ulanych z ciemnego brązu, płyta z porfiru, na której stał zwyczajny złoty garnek — i oto Anzelmus, skoro go raz zobaczył, nie mógł już odeń oczu oderwać. Jakby igrały w tysiącu promienistych odbłasków najrozmaitsze postacie na lśniaco-wypolerowanym złocie — chwilami widział siebie samego z tęsknie rozpostartymi ramionami — ach, obok bżowego krzaka — Serpentina przewijała się do góry i na dół, patrząc nań swojemi rokosznemi oczami.

— Serpenty, Serpenty! — krzyknął na cały głos w obłąkanym zachwycie, na co archiwarjusz odwrócił się szybko i rzekł:

— Czego pan sobie życzy, łaskawy panie Anzelmus? — Zdaje się, żeś pan chciał zawołać na moją córkę, ale ona jest w zupełnie innej stronie mojego domu, w swoim pokoju i ma obecnie lekcję fortepjanu; chodź-no pan dalej!

Anzelmus szedł za wychodzącym stąd archiwarjuszem prawie że nieprzytomny, nie widział i nie słyszał już nic, aż wreszcie archiwarjusz ujął go silnie za rękę i rzekł:

— No, to jesteście na miejscu!

Anzelmus obudził się jakby ze snu i zoba-

czył teraz, że znajduje się w wysokim pokoju, dokoła obstawionym szafami z książkami i nie różniącym się w niczem od zwyczajnych bibliotek. Pośrodku stał duży stół, a przed nim miękki fotel.

— Oto na teraz pańska pracownia — rzekł archiwarjusz Linhorst. — Czy będziesz pan kiedy pracował też w tej drugiej, błękitnej bibliotece, w której tak nagle wykrzyknąłeś imię mojej córki, tego jeszcze nie wiem; — ale teraz chciałbym się naprzód przekonać, o ile umiejętność pańska odpowie moim wymaganiom względem pracy, którąbym panu powierzył.

Student Anzelmus odrazu nabrał otuchy i wyciągnął z kieszeni swoje rysunki i pisaniny nie bez pewnego wewnętrznego zadowolenia, w nadziei, że ogromnie ucieszy archiwarjusza swoim niezwykłym talentem.

Zaledwie archiwarjusz zobaczył pierwszą kartę, rękopis, w eleganckim, angielskim stylu, uśmiechnął się bardzo szczególnie i pokiwał głową. Powtarzało się to przy każdej następnej kartce, tak, że Anzelmusowi krew napłynęła do głowy, aż gdy wreszcie ten uśmiech stał się bardzo szyderczym i pogardliwym, student wybuchnął w rozpaczliwym podrażnieniu:

— Pan archiwarjusz, zdaje się, że niebar-

dzo zadowolony z moich mizernych zdolności?

— Kochany panie Anzelmus — rzekł archiwarjusz Lindhorst — pan masz do sztuki kaligraficznej istotnie duże zdolności, ale widzę doskonale, że na razie więcej będę musiał liczyć na pańską pilność i pańską dobrą wolę, niż na pańskie wykształcenie. Zresztą, być może, iż to po części wina złych materiałów, którychś pan używał.

Student Anzelmus zaczął coś wiele opowiadać o swoim, dotychczas uznawanym artyźmie, o chińskim tuszu i wprost wyborowych piórach krucznych.

Na to archiwarjusz, podał mu angielską kartę i rzekł:

— Osądź pan sam!

Anzelmus był jakby piorunem rażony, tak nędznym wydał mu się jego własny rękopis. Nie było tam ani okrągłości w linjach, ani równości w wierszach, ani odpowiedniego stosunku pomiędzy wielkimi, a małymi literami; w dodatku uczniakowskie przykre „kurze łapki“ psuły względnie już osiągnięte cele, — „a przytem“ — mówił dalej archiwarjusz Lindhorst — „tuszu pański nie wytrzymałe krytyki“.

Umoczył palec w szklance napelnionej wo-

dą i skoro tylko leciuchno dotknął nim liter, wszystko znikło natychmiast bez śladu.

Studentowi Anzelmusowi jakby potwór jakiś zacisnął krtań, nie mógł słowa wykrztusić. I stał tak z nieszczęśliwym papierem w ręku, ale archiwarjusz Lindhorst roześmiał się głośno i rzekł:

— Niema się czem znowu tak okropnie martwić, drogi panie Anzelmus; to, czegoś pan dotychczas nie potrafił dokonać, może tutaj, u mnie, jakoś lepiej się uda; zresztą znajdzie pan tu lepsze przybory od tych, któreś pan zwykle mógł mieć do rozporządzenia. No, zachynaj pan, tylko bez obawy!

Archiwarjusz Lindhorst przyniósł jeszcze jakąś płynną, czarną masę, od której zapachniało jakąś szczególniejszą wonią, niezwykle zabarwione, ostro zatemperowane pióra i kartę przedziwnej białości i gładkości, wreszcie zaś rękopis arabski z zamkniętej szafy, i skoro Anzelmus zasiadł do roboty, opuścił pokój.

Student Anzelmus nieraz już przepisywał arabskie pismo, więc owa pierwsza praca nie wydała mu się tak trudną.

— Jak te „kurze łapki“ dostały się do mojej pięknej, angielskiej kursywy, o tem wie chyba tylko Pan Bóg i archiwarjusz Lindhorst — mó-

wił — ale że one nie pochodzą z mojej ręki — za to bym dał sobie głowę uciąć.

Z każdym wyrazem, który udało mu się szczęśliwie nakreślić na pergaminie, nabierał otuchy, a zarazem zręczności. I rzeczywiście, owemi piórami pisało się przepysznie, a tajemniczy atrament spływał z jednolitą, kruczą czarnością na olśniewająco biały pergamin.

Kiedy tak pilnie i z nateżoną uwagą pracował, robiło mu się w tym samotnym pokoju coraz milej i całkowicie już pogrążył się w robotę, którą miał nadzieję szczęśliwie doprowadzić do końca, kiedy z uderzeniem trzeciej archiwariusz Lindhorst zawołał go do sąsiedniego pokoju na smacznie przyrządzony obiad. Archiwariusz Lindhorst był przy stole w nadzwyczajnym, wyśmienitym humorze; dowiadywał się o przyjaciół Anzelmusa, o konrektora Paulmanna i registratora Heerbranda i opowiadał o tym ostatnim mnóstwo uciechliwych rzeczy. Doskonale, stare wino reńskie smakowało Anzelmusowi nad wszelki wyraz i czyniło go rozmowniejszym, niż kiedykolwiekbądź. Z uderzeniem czwartej powstał, by iść do swojej pracy i ta punktualność uczyniła jak się zdaje na archiwariuszu bardzo dobre wrażenie.

Jeżeli już przed obiadem szczęśliwie powiod-

ło mu się przepisywanie znaków arabskich, to teraz praca poszła mu jeszcze o wiele lepiej, tak, że nawet sam nie mógł zrozumieć szybkości i łatwości, z jaką potrafił przemałowywać kręte linje nieznanego pisma.

Ale było, jakby mu z głębi duszy jakiś głos szeptał wyraźnymi słowy: ach, czyżbyś ty mógł tego dokonać, gdybyś jej nie nosił w myślach i sercu twojem, gdybyś nie wierzył w nią i w jej miłość?

I przewiały przez pokój niby ciche, cichuteńkie, szeptające, kryształowe dźwięczenia:

— Jestem przy tobie, blisko — bliżutecznie — pomagam ci — bądź mężny — bądź wytrwały, drogi Anzelmusie! — pracuję z tobą razem, abyś był moim!

A kiedy się tak w zachwycie bezmiernym wsłuchiwał w owe dźwięki, coraz zrozumialszemi stawały się dlań znaki nieznanne — nie potrzebował już prawie zaglądać do oryginału — znaki te były nawet jakby już blado napisane na pergaminie — trzeba mu było tylko wprawnie pokrywać je czernią. I tak pracował, owiany lubemi, krzepiącemi dźwięki, niby tchnieniem przesłodkiem a pajęczu czułem, aż wybiła godzina szósta i wszedł archiwariusz Lindhorst.

Ze szczególnym uśmiechem podeszedł do

stołu, Anzelmus powstał w milczeniu. Archiwarjusz wciąż jeszcze patrzył nań ze swoim, jakby szyderczym, drwiącym uśmiechem; zaledwie jednak spojrział na przepisywanie, kiedy uśmiech zamienił mu się w głęboką, uroczystą powagę, w której zmieniły mu się wszystkie muskuły twarzy.

Wkrótce nie był to już ten sam człowiek. Oczy, które promieniowały zazwyczaj iskrzącymi płomieniami, patrzyły teraz w Anzelmusa z niewysłowioną tkliwością, leciuchny rumieniec pokrył mu blade lica, znikła ironja, która mu zwykle ścigała usta, i zdało się, że te łagodne, miękkokształtne wargi otwierają się do przemowy, pełnej mądrości a idącej wprost w serce. Cała postać stała się wyższą, dostojniejszą, szeroki szlafrok ułożył się, jak płaszcz królewski, w szerokie fałdy na piersiach i ramionach, a po białych kędziarach, spływających na wysokie, otwarte czoło, wiła się wążka obręcz złota.

— Młodzieńcze — zaczął archiwarjusz uroczysto — młodzieńcze, zanim jeszcze przeczuwał, poznałem już wszystkie te węzły tajemne, które wiążą cię z tem, co mi najdroższe, najświętsze! — Serpentyna cię kocha — i dopełnią się osobiwsze losy, których bieg nieublagany wstrzymują wrogie siły, jeżeli będzie

twoją, jeżeli otrzymasz jako posąg ten złoty garnek, który jest jej własnością. Lecz tylko z walki wykwitnie szczęście twoje w wyższym życiu. Wrogie żywioły oplatają cię — i od hańby i upadku uratować cię może tylko siła wewnętrzna, z którą się oprzesz ich pokusom. Pracując tutaj, przebywasz czas nauki; Wiara i Wiedza niezadługo już doprowadzą cię do celu, jeżeli stać będziesz twardo przy tem, coś musiał zacząć. Wiernym jej bądź całą duszą — jej — która cię kocha, a ujrzysz wtedy wspaniałe cuda złotego garnka i będziesz szczęśliwym na zawsze. — Bądź zdrow! Archiwarjusz Lindhorst oczekuje cię jutro o dwunastej w twoim gabinecie! — Bądź zdrow! —

Archiwarjusz wysunął łagodnie studenta Anzelmusa za drzwi, zamknął je potem — i młodzieniec znalazł się w pokoju, w którym jadł obiad i którego jedyne drzwi wychodziły do sieni. Zupełnie ogłuszony zdumiewającymi zjawiskami, stanął przed bramą nieruchomo, ale wtem otworzyło się nad nim okno, spojrzął w górę, to był archiwarjusz Lindhorst; ten sam stary, w białawo-szarej kurtce, jakim go zwykle widywał, zawołał mu:

— Aj, drogi panie Anzelmus, o czem pan tak myślisz, o co idzie, arabszczyzna nie chce

panu wyjść z głowy? Pozdrówże pan odemnie konrektora Paulmanna, jeżeli pan zajdziesz do niego, i przyjdź pan znów jutro punktualnie o dwunastej. Honorarjum za dzisiaj siedzi już w prawej kieszeni pańskiej kamizelki.

Student Anzelmus znalazł rzeczywiście lśniącego talara w oznaczonej kieszeni, ale wcale się z tego nie ucieszył.

— Co z tego wszystkiego będzie, nie wiem — mówił do siebie — ale jeżeli nawet ogarniają mnie tylko jakieś warjackie marzenia i widziadła, toć przecie żyje i porusza się w duszy mej najmiłsza Serpentina, a ja-bym wolej zginał marnie i nazawsze, zanimbym ją opuścił, bo wiem przecie, że myśl we mnie jest wieczną i że nie może jej zniszczyć żaden wrogi żywioł; ale jest-że ona myśl czem innem, niż miłość Serpenty?

Wigilja siódma.

Jak konrektor Paulmann wytrząsnął fajkę i położył się spać. — Rembrand i Höllen-Breughel. — Zaczarowane zwierciadło i recepta doktora Ecksteina na nieznaną chorobę.

Nareszcie konrektor Paulmann wytrząsnął fajkę, mówiąc:

— Czas już chyba się położyć.

— O, tak — odpowiedziała Weronika, zaniepokojona dłuższem, niż zwykle czuwaniem ojca — dawno już biła dziesiąta.

I zaledwie konrektor udał się do swojego gabinetu, który był zarazem jego sypialnią, zaledwie cięższe oddechy Frani dowiodły, że ona istotnie mocno zasnęła, kiedy Weronika, która także pozornie położyła się spać, pocichutku wstała, ubrała się, narzuciła płaszcz i wysliznęła się z domu.

Od chwili, kiedy Weronika była u starej

Elżbiety, bezustannie widziała przed sobą Anzel-musa i sama nie pojmowała, co za obcy głos w niej powtarzał bez przerwy, że źródłem jego niechęci była jakaś jej nieprzyjazna istota, trzymająca go w więzach, które Weronika mogła rozerwać za pomocą tajemniczych środków sztuki magicznej. Z każdym dniem wzrastało w niej zaufanie do starej Elżbiety, zbladło nawet całe wrażenie czegoś niepokojącego i strasliwego, tak, że wszystkie niepojęte, zadziwiające rzeczy w jej stosunku ze starą, opromieniały tylko urok nadzwyczajności i romantyczności, co ją pociągało tembardziej. Dlatego też postanowiła sobie nieodwołalnie pójść na awanturniczą wyprawę podczas porównania dnia z nocą, choćby jej miało grozić niebezpieczeństwo, że wszystko to się wyda, że spotka ją tysiące nieprzyjemności.

Aż oto nastąpiła wreszcie fatalna noc aequinoctium, w którą stara Elżbieta obiecała udzielić jej swej pomocy i pocieszenia i Weronika, oddawna już oswojona z myślą o tej nocnej wycieczce, nie czuła w sobie trwogi. Biegła z szybkością strzały przez wyludnione ulice, nie bacząc na burzę, która huczała w powietrzu i ciskała jej w twarz grube krople deszczu. Dzwon na kościele św. Krzyża głucho wydzwonił jedge-

nastą, kiedy Weronika, przemoczona do nitki, stanęła przed domem starej.

— Aj, przyszedł już kochaneczko! poczekajno trochę! — zawołano zgóry — i wnet potem przed drzwiami pojawiła się stara z koszem na rękę, w towarzystwie swojego kota.

— No, a teraz trzeba iść i robić wszystko, co tylko jest stosownem i odpowiedniem tej nocy, przyjącej naszemu dziełu.

To mówiąc, chwyciła zimną dłonią drżącą Weronikę, której dała do dźwigania ciężki kosz, sama zaś niosła kocioł, trójnog i łopatę.

Skoro wyszły za miasto, deszcz już nie padał, ale zawierucha stała się jeszcze gwałtowniejszą; wyło coś w powietrzu tysięcznymi głosami. Straszliwe, rozdzierające jęki płynęły od czarnych chmur, które kłębiły się w jakiejś wścieklej pogoni i spowijały wszystko w nieprzebitą ciemnię. Ale stara szybko szła naprzód, wołając przeraźliwie:

— Świeć-no, świeć, mój chłopcze!

Na to zaczęły wic się i krzyżować przed niemi błękitne błyskawice i Weronika poznała, że to kocur skakał przed niemi na wszystkie strony, niecąc trzaskające iskry i oświecając drogę, a skoro tylko burza uciszała się na chwilę, do-

chodziły jej uszu jego żałośliwe, okropne wrzaski, jakby na trwogę.

Oddech zamierał jej w piersi, jakby lodowate szpony zatapiały się w jej wnętrznościach, ale całą siłą woli opanowała się i przyciskając się mocniej do starej, rzekła:

Teraz trzeba znieść wszystko — i niech się dzieje, co chce!

— Doskonale, moja córuchno — odpowiedziała stara — bądź tylko mężną, to ci dam ładny prezent i w dodatku jeszcze Anzelmusa!

Nareszcie stara stanęła i rzekła:

— No to jesteśmy na miejscu!

Wykopała w ziemi dołek, nasypała tam węgla i postawiła nad niemi trójnog, na którym umieściła kocioł. Wszystkiemu temu towarzyszyły dziwaczne jej poruszenia, a kocur obiegał ją wkoło. Z ogona jego wytryskały iskry, które wytworzyły obręcz ognistą. Wkrótce węgle zaczęły się żarzyć, aż wreszcie pod trójnogiem, wybuchły błękitne płomienie. Weronika musiała odłożyć płaszcz i zasłonę i przysiąść się obok starej, która chwyciła jej ręce i silnie zacisnęła, patrząc w nią iskrzącymi oczyma. A teraz zaczęły się smażyć i skwierczeć i szumieć wszystkie te szczególne rzeczy, które stara wyjęła z kosza i wrzuciła do kotła — niepodobna było rozpo-

były to kwiaty — metale — zioła — zwierzęta. Stara puściła Weronikę, chwyciła żelazną łyżkę, którą zanurzyła w tej rozpalonej masie, i mieszała tam coś, podczas gdy Weronika na rozkaz jej musiała się mocno wpatrywać we wnętrze kotła i skierować swe myśli na Anzelmusa. Po tem stara na nowo wrzuciła lśniące jakieś metale do kotła oraz pęk włosów, które Weronika wycięła z wierzchu głowy, jak również mały pierścionek, jaki ta oddawna nosiła, a jednocześnie wydawała niezrozumiałe, straszliwie rozbrzmiewające w czarnej nocy okrzyki, a kot, bezustannie biegając wokoło, skowyczał i jęczał przeciągle.

Chciałbym, ażebyś, łaskawy czytelniku, znajdował się dnia 23 września w drodze do Drezna; gdy zapadł późny wieczór, napróżno usiłowano zatrzymać cię na ostatniej stacji; uprzejmy gospodarz przekonywał cię, że przecież zbyt straszna już jest na dworze zawierucha, że deszcz leje jak z cebra, i że wogóle niezbyt bezpiecznie jest wjeżdżać tak prosto w ciemności podczas nocy porównania dnia z nocą; aleś ty na to nie zważał, zupełnie słusznie rozumując: dam pocztyljonowi całego talara na piwo i będę

już najpóźniej o pierwszej w Dreźnie, gdzie oczekuje mnie dobra wieczerza i miękkie łóżko, albo „Pod złotym Aniołem“, albo „Pod Hełmem“, albo w Naumburgu.

A kiedy już tak jedziesz w ciemnościach, widzisz nagle w oddali jakieś zadziwiające, migotliwe światło. Przybliżywszy się, dostrzegasz obręcz płomienistą, a w jej środku, przy kotle, z którego strzelają kłęby gęstego dymu i czerwone, błyskające iskry i promienie, siedzą dwie postacie. Droga idzie wprost przez ów ogień, ale konie parskają, biją kopytami o ziemię, stoją dęba — pocztyljon klnie i modli się — i tnie biczem konie, ile wlezie — nie ruszają się z miejsca.

Mimowoli wyskakujesz z dyliżansu i podbiegasz kilka kroków. Widzisz teraz wyraźnie wysmukłe, słodkie dziewczę, które klęczy przy kotle w białym, cienkim ubraniu nocnym. Burza rozpuściła jej sploty, długie, kasztanowo-brązowe włosy trzepoczą się swobodnie na wietrze. Anielsko piękne oblicze żarzy się całe w olśniewających ogniach jaskrawych płomieni, co wybuchają z pod trójnoga, lecz twoga załala tę twarz lodowatym strumieniem, ścięła ją w błądź śmiertelną, a w zeszywniałym wzroku, w brwiach podniesionych do gó-

ry, w ustach, które napróżno w strachu śmiertelnym roztwierają się do krzyku, co się nie może wydobyć z przytłoczonej ciężarem bezmiernym piersi, widzisz jej przerażenie okropne, jej zgrozę; splotła kurczowo swe drobne rączki i podniosła ku niebu, jakby Aniołów Stróżów wzywając na pomoc, aby ją obronili przed potworami piekieł, co czarom potężnym posłuszne, wnet pojawią się tutaj.

I klęczy tak nieruchomo, jak marmurowy posąg. Naprzeciw niej przykucnęła na ziemi długa, chuda, miedziano-żółta kobieta z ostrym, jastrzębim nosem i iskrzącymi się kocimi oczyma; z czarnego płaszcza, który narzuciła, wysterczają nagie, kościste ręce; grzebiąc w piekielnym warze, śmieje się i woła skrzeczącym przeraźliwie głosem po przez szumiącą i huczącą burzę.

Jestem pewny, łaskawy czytelniku, że choćby obcemi ci były zazwyczaj uczucia trwogi, to na widok tego malowidła Rembrandta czy Höllen-Breughela, które teraz ożywiło się przed tobą, włosy by ci powstały na głowie z przerażenia. Ale nie mogłeś oderwać wzroku od wplątanego w piekielne sprawy dziewczęcia, a prąd elektryczny, który ci zadrżał we wszystkich tkankach i nerwach, wzniecił w tobie z błyskawicz-

na szybkością myśl, stawić czoło tajemniczym siłom kręgu płomieni; w myśli tej zaginęło Twoje przerażenie — tak — myśl ta wykwitła wprost z tego przerażenia, z tej zgrozy, jako ich płód bezpośredni. Było Ci, jakbyś sam był jednym z tych Aniołów Stróżów, do których modliło się na śmierć zestrachane dziewczę, jakbyś powinien był wnet wyciągnąć z kieszeni pistolet. i zastrzelić tę starą bez namysłu! Ale, myśląc o tem tak żywo, krzyknąłeś głośno: — Hola! — albo: co się tu dzieje?, albo: co wy tu robicie?—

Pocztyljon zadał wrzaskliwie w róg, stara wywinęła kozła wprost w war i wszystko zniknęło naraz w gęstym dymie.

Czybyś znalazł to dziewczę, któregoś z najszerszą gorliwością szukał teraz w ciemnościach, tegobym nie sądził, ale zniszczyłbyś czarodziejską grę starej, rozerwałbyś więzy magicznego koła, w które dała się wciągnąć lekko-myślnie Weronika.

Jednakże ani Ty, łaskawy czytelniku, ani nikt wogóle nie szedł, ani jechał tą drogą dwudziestego trzeciego września, w tę noc burzliwą, sprzyjającą sztukom czarnoksiężkim, i Weronika musiała wytrwać przy kotle w śmiertelnej trwodze, aż dzieło dobiegnie do końca.

Słyszała doskonale, jak wokoło niej coś wyło i szumiało, jak beczały i klekotały wokoło niej przeróżne, wstrętne głosy, jedno przez drugie, ale nie otwierała oczu, bo czuła, że widok tej ohydy, tych okropności, które ją otaczały, mógłby ją wtrącić w nieuleczalne szaleństwo.

Stara przestała grzebać w kotle, Dym stawał się coraz rzadszy, aż wreszcie tylko lekki płomień spirytusowy palił się u spodu kotła, Wtedy zawołała:

— Weroniko, dziecko moje! złotko moje! spojrzij no tu w głąb! — Cóż widzisz — cóż widzisz?

Ale Weronika nie była wstanie odpowiedzieć, chociaż zdawało jej się, że w kotle wirują bezładnie najróżniejsze, skłębione z sobą, figury; postacie jednak z każdą chwilą stawały się wyraźniejsze, aż naraz z głębiny kotła wystąpił, patrząc się na nią przyjaźnie i podając jej rękę, student Anzelmus. Krzyknęła głośno:

— Ach, Anzelmus! — Anzelmus!—

Stara otworzyła szybko znajdujący się u kotła kran i rozpalony metal spłynął z trzeszczeniem i syczeniem w małą foremkę, którą podstawiła.

Wtedy zerwała się wiedźma, wrzeszcząc i

ciskając się na wszystkie strony w ohydnych, dzikich podskokach:

— Skończone dzieło — dzięki ci, mój chłopcze! — czuwałeś dzielnie! — Hu—hu—on idzie! — zagryź go — zagryź go!—

Lecz na to zaszumiało coś potężnie w powietrzu, jakby zlatywał jakiś potwornie wielki orzeł, trzepiąc olbrzymimi skrzydłami, i krzyknęło przeraźliwie:

— Hej, hej! — Wy tam, hołota! — Skończona rzecz — skończona rzecz — do domu, precz!—

Stara runęła z wyciem na ziemię, ale Weronika straciła przytomność.

Kiedy znowu przyszła do siebie, był już jasny dzień, leżała na swoim łóżku, a Frania stała przed nią z filiżanką dymiącej herbaty, mówiąc:

— Ależ powiedz że mi, siostró, co ci jest! Stoję tu już przed tobą z godzinę, czy więcej, a ty leżysz bez przytomności, jakby w febrycznej gorączce i stękaasz i jęczysz, że aż nam straszno się robi. Ojciec nie poszedł z twojego powodu do szkoły i zaraz tu wejdzie z panem doktorem.

Weronika milcząc wzięła z jej rąk herbatę;

skoro ją zaczęła pić, okropne obrazy tej nocy stanęły jej żywo przed oczami.

— Więc może to wszystko było tylko strasznym snem, który mnie dręczył? Ależ ja przecież naprawdę poszłam wczoraj wieczorem do starej, to był przecież dwudziesty trzeci wrzeźnia? — Nie, ja raczej wczoraj już byłam bardzo chora i wszystko to mi się tylko przywidziało, a cała choroba powstała u mnie z tego wiecznego myślenia o Anzelmusie i o tej zdumiewającej starej kobiecie, która się podała za Elżbietę i tem chciała mnie zwabić.

Frانيا, która była wyszła, wróciła znowu z całkiem przemoczonym płaszczem Weroniki w rękę.

— Patrzajno, siostró — rzekła — co się stało z twoim płaszczem; burza wyrwała w nocy okno i przewróciła krzesło, na którym płaszcz leżał; pewno napadało deszczu tamtędy, bo płaszcz jest zupełnie mokry.

Weronice jakby kamień upadł na piersi, wiedziała już teraz, że to nie sen ją dręczył, tylko że naprawdę była u starej. Ogarnął ją strach i zgroza, mróz febryczny zatrzęsł ją od góry do dołu. Z kurczowym dreszczem naciągnęła silnie koldrę na siebie; ale wtem poczuła, że piersi jej uciskało coś twardego, a kiedy chwy-

ciła to w rękę, wyczula coś, jakby medaljon; wyjęła to zpod koldry, skoro tylko Frania wyszła z płaszczem; było to małe, okrągłe, jasno wypolerowane zwierciadelko.

— Podarunek od starej — zawołała żywo — a ze zwierciadła jakby strzelały płomieniste promienie, które ją przenikały do głębi i ogrzewały lubo; febryczne dreszcze ustały, opływało ją nieopisane uczucie błogości i słodkiego spokoju. Musiała myśleć o Anzelmusie, a kiedy skierowywała nań myśli coraz silniej i silniej, uśmiechnął się do niej przyjaźnie ze zwierciadła, niby żywy portrecik w miniaturze. Ale wnet zdało się jej, że już nie widzi tego obrazu — nie! — tylko za to samego studenta Anzelmusa, w całej postaci. Siedział w wysokim, szczególnie urządzonej pokoju i pilnie pisał. Weronika chciała podejść ku niemu, poklepać go po ramieniu i powiedzieć: — Panie Anzelmus, obejrzyj się pan, ja tu jestem! Ale to się zupełnie nie udawało, gdyż otaczał go jakby świecący kąg ognia, lecz Weronika spozjrzała uważniej; były to przecież tylko wielkie księgi ze złoconemi brzegami.

Ale wreszcie Weronice udało się spojrzeć Anzelmusowi w oczy: wtedy on jakby musiał, patrząc na nią, dopiero przypomnieć ją sobie,

lecz w końcu uśmiechnął się i rzekł: ach — czy to pani, droga mademoiselle Paulmann? Ale czemuż pani chwilami raczy udawać węża?

Weronika wybuchnęła głośnym śmiechem na te szczególne słowa; wskutek tego obudziła się jakby z głębokiego snu i szybko schowała zwierciadelko, kiedy drzwi otworzyły się i wszedł do pokoju konrektor Paulmann z doktorem Ecksteinem.

Doktor Eckstein podszedł natychmiast do łóżka, długo trzymał w głębokim zamyśleniu puls Weroniki i powiedział:

— Aj! Aj!—

Potem napisał receptę, jeszcze raz chwycił za puls, jeszcze raz powtórzył: „Aj! Aj!”—i opuścił pacjentkę.

Ale z tych wynurzeń doktora Ecksteina konrektor Paulmann nie mógł dość wyraźnie wymiarkować, co właściwie dolega Weronice.

Wigilja ósma.

Biblioteka drzew palmowych.—Losy nieszczęśliwego Salamandra,¹⁾ —Jak czarne pióro pieściło się z barakiem, a registrator Heerbrand bardzo się upił.

Student Anzelmus spędził już wiele dni na pracy u archiwarjusza Lindhorsta; owe godziny były dlań najszcześniejszymi w jego życiu, bo zawsze opływały go słodkie dźwięki pokrępiających słów Serpenty, bo nawet nieraz ocierały się cicho o niego leciuchne jakieś tchnienia i przenikała go wtedy nigdy niedoświadczana błogość, która wzrastała nieraz do naj-

¹⁾ „Salamandra“ po polsku jest rodzaju żeńskiego. Ponieważ jednak w opowieści niniejszej ów legendowy duch ognia wciela się w postać męską, w potężnego czarodzieja, więc nie chąc ani psuć legiendy ani Haffmanowskiej opowieści przez ciągłe dodatki lub objaśnienia (czego już i tak nie podobna było umknąć przy „zielonem wężu“ kobiecie) wolałem poprostu przerobić „Salamandrę“ na „Salamandra“. Nie będzie to chyba zbyt raziliło polskiego ucha, gdyż wyraz ten nie jest przecież rodzennie polskim (Przyp. tłum).

wyższej rokoszy zachwytu. Zapominał zupełnie o wszystkich nędzach i wszystkich drobnych troskach swojego ciężkiego życia, i w nowem istnieniu, które się przed nim otwarło, jakby w olśniewającym blasku słońca, poznawał wszelkie cuda tego wyższego świata, które napępniały go dawniej zdumieniem, a nawet zgrozą. Przepisywanie szło mu bardzo szybko, ponieważ zdawało mu się coraz silniej, że on kreśli na pergaminie tylko oddawna już znane znaki, że zaledwie potrzebuje zaglądać do oryginału, aby przemalowywać wszystko z jak największą dokładnością.

Archiwarjusz Lindhorst rzadko kiedy ukazywał się poza godziną obiadową, ale za każdym razem, pojawiał się dokładnie w tej chwili, kiedy Anzelmus ukończył ostatnie znaki jakiego rękopisu, i wtedy dawał mu inny, ale wnet wychodził w milczeniu, zamieszawszy tylko atament jakąś czarną pałeczką i zamieniwszy zużyte pióra na nowe, ostrzej zatemperowane.

Pewnego dnia, kiedy student Anzelmus wszedł z uderzeniem dwunastej na schody, zastał drzwi, które zwykłe wchodził, zamknięte, a archiwarjusz Lindhorst zjawił się w innej stronie, w swoim zadziwiającym, jakby usianym lśnjącymi kwiatami szlafroku.

Zawołał głośno:

— Wejdz no pan dzisiaj tędy, drogi Anzelmusie, bo tam czekają na nas mistrzowie Bhogovotgity.

Wszedł na korytarz i prowadził za sobą Anzelmusa przez te same komnaty i sale, co za pierwszym razem. Studenta Anzelmusa nanowocześnie ogarnęło zdumienie wobec czarujących wspaniałości ogrodu, ale teraz dostrzegł wyraźnie, że niektóre zadziwiające kwiaty, wiszące u ciemnych krzaków, były to właściwie lśniąco przepychem barw owady, co trzepotały skrzydełkami, wznosiły się w górę, zlatywały na dół, skakały, wirowały, kłębiły się beładnie, jakby się pieszcząc, igrając z sobą. A znowu te różowe i jak niebo błękitne ptaki, były wistocie kwiatami pachnącymi, a zapach, jaki rozsiewały dookoła, wykwitał z ich kielichów w cichych, słodkich dźwięczeniach, co zlewały się razem z pluskaniem źródeł dalekich, z szelestem wyniosłych krzewów i drzew, w tajemnicze akordy, w skargi głębokiej tęsknoty. Drwiące ptaki, które go za pierwszym razem tak drażniły i wykiwały, zawirowały mu znowu nad głową i bezustannie krzyczały swojemi cienkimi głosikami:

— Panie student, panie student — nie spiesz się pan tak — nie gap się pan tak w chmury — jeszcze pan na nos upadniesz! He,

he! panie student — włożno pan pudermantel — Kum puhacz ufryzuje panu perukę.—

I takie różne głupstwa brzęczały Anzelmusowi koło uszu, póki nie wyszedł z ogrodu.

Nareszcie archiwariusz Lindhorst wszedł do lazurowego pokoju. Płyta porfirowa ze złotym garnkiem gdzieś znikła, a na jej miejscu, na środku pokoju, stał pokryty fioletowym aksamitem stół, na którym znajdowały się znane Anzelmusowi przybory do pisania, obok zaś stało krzesło z poręczami, pokryte taką samą materją.

— Kochany panie Anzelmus — rzekł archiwariusz Lindhorst — przepisałeś pan już nieco rękopisów szybko i dokładnie, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu; pozyskałeś pan sobie moje zaufanie; ale pozostaje jeszcze do zrobienia rzecz najważniejsza, mianowicie przepisanie, a raczej przemałowanie pewnych dzieł, pisanych szczególniejszymi znakami, dzieł, które ja przechowuję w tym pokoju i które można przepisywać tylko na miejscu. Na przyszłość będziesz pan zatem pracował tutaj, ale muszę panu zalecić jaknajwiększą ostrożność i uwagę; jedna fałszywa kreska, albo też uchowaj Boże, jedna plama z atramentu, prysłnięta na oryginał, pograży pana w nieszczęście.

Anzelmus zauważył, że ze złotych pni palm wyrastały małe szmaragdowe liście; archiwar-

jusz chwycił jeden z tych liści i Anzelmus poznał, że liść był właściwie rulonem pergaminu, który archiwarjusz rozwinął i rozłożył na stole.

Anzelmus nie mało się zadziwił na widok tych dziwacznie poplątanych znaków, a wpatrując się w te wszystkie punkciki, kreski, przecinki i zakrętasy, które zdawały się wyobrażać jakieś rośliny, mchy, to znów postacie zwierząt, omal, że nie upadł na duchu, czy potrafi to wszystko tak dokładnie przemaalować. Zamyślił się nad tem głęboko.

— Odwagi, młodzieńcze! — zawołał archiwarjusz — jeśli masz szczerą wiarę i prawdziwą miłość, to pomoże ci Serpentina!

Głos jego brzmiał, jak dźwięczący metal, a kiedy Anzelmus spojrzał w raptownej trwodze, archiwarjusz Lindhorst stał przed nim w królewskiej postaci, tak jak się zjawił przed nim przy pierwszych odwiedzinach w pokoju, gdzie była biblioteka. Anzelmus uczuł, że chyba osunął się na kolana, czcią przeniknięty, ale tu archiwarjusz Lindhorst wzniósł się w górę po pniu jednej z palm i zniknął wśród szmaragdowych liści.

Student Anzelmus zrozumiał, że Księżę Duchów z nim mówił i że wszedł teraz na górę, do swojej pracowni, aby może wprzód jeszcze zapytać promieni, gońcami doń wysłanych przez

niektóre planety, o dalsze losy jego i słodkiej Serpenty.

— Albo też może — myślał dalej — oczekują go wieści ze źródeł Nilu, albo odwiedza go jaki mag z Laponji — mnie zaś trzeba teraz ostro się zabrać do pracy.

I z temi słowy zaczął badać nieznane znaki pergaminu.

Cudowna muzyka ogrodu przenikała ku niemu i otaczała go słodkimi, rozkosznymi zapachami, słyszał także wprawdzie chichotanie drwiących ptaków, ale nie rozumiał ich słów, co mu też było bardzo przyjemnie. Chwilami też było, jakby szeleściły liście drzew palmowych i jakby promieniowały wtedy przez pokój w te czarowne dźwięki kryształu, które Anzelmus słyszał w ów pamiętny dzień Wniebowstąpienia pod bżowym krzakiem. Przedziwnie pokrzepiony przez te dźwięki i świecenia, Anzelmus coraz silniej i silniej skierowywał swe myśli i czucia na tytuł rulonu pergaminu, i wkrótce, jakby w głębi duszy uczuł, że znaki te mogły oznaczać tylko te, a nie inne słowa: „O zaślubinach Salamandra z Zielonym Wężem“.

Tu zabrzmiał silny, trójdźwięczny akord jasnych dzwonów z kryształu.

— Anzelmusie, drogi, Anzelmusie—prze-

wiało ku niemu zpośród liści — i o cudo! — po pniu palmowego drzewa ześlizgiwał się zielony wąż.

— Serpenty! najmiłsza Serpenty! — krzyknął Anzelmus jakby w obłąkaniu najwyższego zachwytu: bo kiedy się tak silnie wpatrywał, było to przecież przecudne, czarujące dziewczę, które spływało ku niemu, patrząc nań z niewysłowioną tęsknotą ciemno błękitnymi oczami, temi samemi oczami, co żyły w nim, w głębi duszy. Liście zdawały się opuszczać i rozpościerać, wszędzie wysterczały z pni kolce, ale Serpenty z ręcznie przemykała się, przewijała się przez nie, cisnąc ku sobie swoją migotliwą, jakby lśniąca mieniącemi się barwami szatę, tak że ta, przylgnąwszy do wysmukłego ciała, nigdzie nie zaczęła się o wystające kolce i ciernie drzew palmowych.

Siadła obok Anzelmusa na tem samem krześle, obejmując go ramionami i przyciskając ku sobie, tak, że odczuwał tchnienie, płynące z jej ust i elektryczne ciepło jej ciała.

— Drogi Anzelmusie — zaczęła Serpenty — jesteś już teraz zupełnie moim, zdobyłeś mnie przez Twoją Wiarę, przez Twoją Miłość, — a ja ci ofiaruję ów złoty garnek, który nas uszczęśliwi na wieki.

— O ty, przestódka, najmiłsza Serpenty

— rzekł Anzelmus — jeżeli posiadam Ciebie, to cóż mię obchodzi wszystko poza tem? skoro żeś tylko moją, to zginąłbym najchętniej w tych wszystkich dziwach i czarach, które mną zawładnęły od chwili, kiedym Cię ujrzał.

— Wiem doskonale — mówiła dalej Serpenty — że wszystkie te niepojęte i cudowne rzeczy, któremi ojciec mój otaczał cię nieraz tylko dla własnej zabawy, wzbudzały w tobie zgrozę i przerażenie, ale teraz już, jak myślę, tego chyba nie będzie; bo ja tu jestem w tej chwili tylko poto, aby ci opowiedzieć, mój drogi Anzelmusie, z głębi serca, z głębi duszy wszystko, wszystko, aż do najczulszych drobiazków, co tylko powinienes wiedzieć, ażebyś całkowicie poznał mojego ojca i wogóle jaknajdokładniej rozumiał wszystko, co dotyczy jego i mnie.

Anzelmusowi było, jakby go ta wdzięczna, słodka postać objęła i otuliła sobą tak całkowicie, że on tylko z nią razem mógł się poruszać, i jakby tylko jej pulsu rytmy drżały mu w jego tkankach, w jego nerwach; wsłuchiwał się w każde jej słowo, co dźwięczało mu aż gdzieś w głębi duszy i jak promień świetlisty wzniecało błogość niebiańską. Otoczył ramieniem jej smukłe, bardziej niż smukłe ciało, ale

mieniąca się, lśniąca materja jej szaty, była tak gładką, tak śliską, że zdało mu się, iż ona może wyrwawszy mu się szybko, wysliznąć się niepowstrzymanie, i zadrżał na tę myśl.

— Ach, nie opuszczaj mnie, słodka Serpenty! — zawołał mimowoli — tyś tylko życiem mojem!

— Dzisiaj — rzekła Serpenty — to nie prędzej, aż ci opowiem wszystko, co w twojej miłości ku mnie zdołasz zrozumieć. — A więc, dowiedz się, ukochany, że mój ojciec pochodzi z dziwnego rodu Salamandrów i że ja zawdzięczam swe istnienie jego miłości do Zielonego Węża. Kiedyś, w praczasach królował w cudownej krainie, Atlantydzie, potężny Książę-Duch, Phosphorus, któremu służyły duchy pierwotne. Pewnego razu, Salamander, którego lubił nad wszystkie (to był mój ojciec), przechodził przez wspaniałą ogród, który matka Phosphorusa przepięknie przystroiła swemi najpiękniejszymi darami, i słyszał, jak śpiewała tam cichemi dźwięki wysoka Lilja:

„— Przymknij mocno oczęta, aż cię nie zbudzi wiatr ranny, ukochany mój.“

Zbliżył się; owiana jego palcem tchnieniem, Lilja roztworzyła swe liście, a wtedy zobaczył córkę Lilji, Zielonego Węża, co spał w

jej kielichu. I oto ogarnęła Salamandra gorąca miłość do pięknego Węża i porwał ją Lilję, której zapachy wołały napróżno po całym ogrodzie, w niewymownych skargach za ukochaną córką. Albowiem Salamander zaniósł ją do zamku Phosphorusa i prosił go: daj mi zaślubić ukochaną, niechaj moją będzie na wieki.

— Niebaczny, czego żądasz! — rzekł Książę-Duch, — wiedz, że Lilja była ongi moją i panowała ze mną; ale iskra, którą-m w nią rzucił, groziła jej zagubą, i tylko zwycięstwo nad Czarnym Smokiem, którego teraz Duchy Ziemi trzymają związanego w łańcuchach, ocaliło Lilję, dało jej liściom moc zamknięcia w sobie tej iskry i przechowania jej. Ale skoro obejmiesz Zielonego Węża, żar twój przepali jej ciało i nowa istota, szybko poczęta, uleci od ciebie.

Salamander nie zważał na przestrożę Księcia; pełen palącego pożądania chwycił Zielonego Węża w ramiona, kochanka rozpadła się w popiół, a skrzydlata istota, z popiołu tego zrodzona, zasumiała przez powietrze, uleciała. — Wtedy ogarnęło Salamandra szaleństwo rozpacz, i popędził przez ogród, ciskając ogień i płomienie, i niszczył go w dzikiej wściekłości,

że najpiękniejsze rośliny i kwiaty upadły popalone, a jęk ich nappełnił przestrzenie.

Strasliwie zagniewany Książę-Duch chwycił w zapachywość swojej Salamandra irzekł: — „wyszalał twój ogień — zagasły twoje płomienie, zbladły twoje promienie — zstępuj do Duchów Ziemi, niechaj drwią z ciebie i szydzą i trzymają w niewoli, póki nie rozpali się znowu materja ognista i nie wypromieniuje z ziemi z tobą razem, jako z nową istotą.

— Nieszczęsny Salamander zapadł się, ugaszony, ale na to podszedł stary, mrukliwy Duch Ziemi, który był ogrodnikiem Phosphorusa, i rzekł:

„— Panie! któżby powinien bardziej skarżyć się na Salamandra, niż ja? Czyż nie przytroilem moimi najpiękniejszymi metalami wszystkich tych pięknych kwiatów, które on spalił? czyż nie chronilem, nie pielegnowałem dzielnie ich zalążków, czy nie roztrwonilem na nie niejednej pięknej barwy? — a jednak ujmuję się za biednym Salamandrem, którego tylko miłość (ty sam, o Panie, często jej ulegałeś!) doprowadziła do rozpacz, w której zniszczył ogród. Złagodź mu zbyt ciężką karę!”

— Ogień jego na teraz zagasnął — rzekł

Książę-Duch“ — w nieszczęśliwym czasie, kiedy mowa przyrody nie będzie już zrozumiała dla zwyrodniałego rodzaju ludzkiego, kiedy Duchy pierwotne, zagnane do ich krainy, tylko z dalekiej dali, głuchymi dźwiękami przemawiać będą do ludzi, kiedy wytraconemu z kręgu harmonji tylko tęsknota bezmierna świadczyć będzie o pełnem cudów królestwie, w którym miał ongi przebywać, gdy jeszcze Wiara i Miłość mieszkaly w jego sercu — w tym nieszczęśliwym czasie nanowo rozpali się materja ognista Salamandra, ale w poczęciu swoim stanie się on tylko człowiekiem i będzie musiał zupełnie pograćżyć się w nędzę życia, znosić jego udręki. Ale ma być mu zachowaną nietylko pamięć o jego pierwotnem pochodzeniu, ożyje on także w świętej harmonji z całą Przyrodą, rozumieć będzie jej cuda, a moc bratnich Duchów będzie mu podległą. Odnajdzie wtedy znowu w liljowym krzewie Zielonego Węża, a owocem jego zaślubin z nią są trzy córki, które pojawiają się ludziom w postaci matki. Mają się one na wiosnę uwiesić w ciemnym bzu krzaku i zadźwięczyć swoimi lubymi głosami z kryształu. Jeżeli znajdzie się wtedy, w owym biednym, nędznym czasie zatwardziałej nieczułości dusz, młodzieniec, który ich śpiew zrozumie — i nie-

dość — jeżeli jeden z Wężyków spojrzy nań swemi wdzięcznemi oczami, jeżeli spojrzenie to wznieci w nim przecucie dalekiej, cudownej krainy, ku której on może się wznieść, odwagi pełen, gdy zrzuci z siebie brzemię prostackiej powszedniości, jeżeli wraz z miłością do Węża, zrodzi się w nim żywa, gorąca Wiara w cuda Przyrody i zarazem we własne swoje istnienie wśród tych cudów, — to Wąż będzie jego. Ale nie pierwej, aż znajdzie się trzech takich młodzieńców, którzy poślubią trzy córki, będzie mógł Salamander odrzucić swe ciężkie brzemię i wrócić do braci swoich.“

— Pozwól, o Panie, — rzekł Duch Ziemi — że ofiaruję tym trzem córkom dar, który każdej uświetni życie ze znalezionym mężem. Każda otrzyma odemnie garnek z najpiękniejszego metalu, jaki posiadam; wypoleruję go promieniami, które wezmę djamentom; całe nasze państwo pełne cudów, tak jak ono istnieje teraz w harmonji z całą Przyrodą, odbijać się ma w przepychu olśniewających blasków w zwierciadle jego błyszczącej powierzchni, ale w chwili zaślubin wykwitnie z jego wnętrza lilja płomienista, której wieczny kwiat otoczy słodkimi zapachami wybranego młodzieńca. Wnet wtedy zrozumie on mowę tego kwiatu i cuda na-

szego świata i sam zamieszka z ukochaną w Atlantydzie.

— Wiem już teraz bardzo dobrze, drogi Anzelmusie, że ojciec mój jest właśnie tym Salamandrem, o którym ci opowiedziałam. On musiał, pomimo swojego wyższego ustroju, poddać się najdrobniejszym troskom powszedniego życia i stąd może pochodzi nieraz jego zgryźliwy humor, jakim obdarza niektórych. Często powtarzał mi, że na określenie właściwości duchowych, jakich Książę-Duch Phosphorus wymagał wówczas jako warunku poślubienia mnie i moich sióstr, istnieje teraz wyrażenie, którego jednak zbyt często nadużywają w nieprzyzwoity sposób; a mianowicie nazywa się to duszą dziecięcą i poetyczną. Dusze takie znaleźć można nieraz u młodzieńców, których pospółstwo wyśmiewa za prostotę ich obyczajów i za to, że brak im zupełnie tak zwanej ogłady światowej. Ach, drogi Anzelmusie, tyś przecie zrozumiał pod bżowym krzakiem mój śpiew — moje spojrzenie. — Ty kochasz Zielonego Węża, Ty wierzysz we mnie i chcesz być moim na wieki! Piękna lilja wykwitnie ze złotego garnka i będziemy, połączeni, żyli razem szczęśliwie i błogo w Atlantydzie!

— Ale nie mogę przed Tobą ukrywać, że

we wstrętnej walce Salamandrów z Duchami Ziemi, Czarny Smok wyrwał się i z chrzęstem umknął w powietrzne przestwory. Wprawdzie Phosphorus napowrót trzyma go w więzach, ale z jego czarnych piór, które posypały się podczas walki na ziemię, zrodziły się wrogie duchy, które wszędzie stają przeciw Salamandrom i Duchom Ziemi. Owa kobieta, która ci jest tak nieprzyjazną, i która, jak to mój ojciec wie doskonale, dąży do posiadania złotego garnka, zawdzięcza swe istnienie miłości jednego takiego pióra, co wyleciało ze skrzydła Smoka, do jakiegoś buraka. Zna ona swe pochodzenie i swoją siłę; albowiem z jęków i drgawek pojmanego Smoka, przeniknęła tajemnicę niektórych czarodziejskich konstelacji i używa wszelkich środków, aby działać z zewnątrz na duszę, podczas gdy znów mój ojciec zwalcza ją piorunami, strzelającymi z wnętrza Salamandra. Ona zbiera wszystkie złe pierwiastki, mieszkające w szkodziwych ziołach i trujących zwierzętach i mieszając je w sprzyjających konstelacjach, wytwarza pewne złośliwe zmyory, które napełniają duszę człowieka zgrozą i przerażeniem i oddają go w moc Demonów, których smok wyhodował, ulegając w walce. Strzeż się tej starej, drogi Anzelmusie, ona jest twoim wrogiem, bo twoja

dziecięco niewinna dusza zniszczyła już niejedną z jej złych czarów. Wiernym bądź miłości twej — wnet już osiągniesz cel!

— O moja — moja Serpenty! — zawołał student Anzelmus — jakżeżbym mógł cię opuścić, jakżeżbym mógł ciebie nie kochać wiecznie!—

Pocałunek zapłonął na jego ustach, obudzili się jakby z głębokiego snu, Serpentina znikła, wybiła szóstą, i tu uczuł ciężki wyrzut, że nie przepisał ani odrobiny, z niepokojem, co też na to powie archiwarjusz, spojrzał na swoją kartę i o dziwo! — przepisywanie tajemniczego rękopisu było pomyślnie dokonane aż do końca, a silniej wpatrując się w znaki, rozumiał, że przepisał opowieść Serpenty o jej ojcu, ulubieńcu Księcia-Ducha Phosphorusa w cudownej krainie Atlantydy.

Teraz wszedł archiwarjusz Lindhorst w swoim białawo-szarym płaszczu, z kapeluszem na głowie, z laską w rękę; spojrzał na zapisany przez Anzelmusa pergamin, zażył potężny niuch tabaki i rzekł z uśmiechem: tegom się też spodziewał! — No! oto jest bity talar, panie Anzelmus, pójdziemy sobie teraz jeszcze do Linka — tylko za mną!

Archiwarjusz przeszedł szybko przez o-

gród, w którym panował taki wściekły hałas, takie śpiewania, gwizdania i gadaniny, że student Anzelmus był zupełnie ogłuszony i dziękował Bogu, skoro się znalazł na ulicy.

Zaledwie uszli kilka kroków, kiedy spotkali registratora Heerbranda, który chętnie się do nich przyłączył. Przed bramą nałożyli sobie fajki; registrator Heerbrand narzekał, że nie ma przy sobie krzesiwa, a na to archiwariusz Lindhorst zawołał zupełnie mimowoli: „co tam krzesiwo! — masz pan tu ognia, ile zechcesz!”

To mówiąc, przytknął palcami, z których wypłynęły wielkie iskry i szybko rozpały fajki.

— Patrz no pan, co to za chemiczny kawał — rzekł registrator Heerbrand, ale student Anzelmus nie bez wewnętrznego drżenia pomyślał o Salamandrze.

U Linka registrator Heerband wypił tyle mocnego, podwójnego piwa, że zaczął, on, zwykle taki łagodny, cichy człowiek, śpiewać rozciągłym tenorem burszowskie pieśni, pytał gorączkowo każdego, czy jest jego przyjacielem, czy nie, aż wreszcie student Anzelmus musiał go zanieść do domu, podczas gdy archiwariusz Lindhorst oddawna już gdzieś się podział.

Wigilja dziewiąta.

Jak student Anzelmus cokolwiek przyszedł do rozumu. — Towarzystwo przy ponczu. Jak student Anzelmus uważał Konrektora Paulmana za puhacza, a ten się bardzo na to rozzłościł. — Kleks z atramentu i jego skutki.

Wszystkie te dziwy i cudowności, które codziennie otaczały studenta Anzelmusa, odsunęły go zupełnie od zwyczajnego życia. Nie widywał żadnego ze swoich przyjaciół i niecierpliwie wyczekiwał co rano godziny dwunastej, rozwierającej mu jego raj. A jednak, choć całą duszą lgnął do lubej Serpentyny i cudów czarodziej-skiej krainy u archiwariusza Lindhorsta, musiał chwilami myśleć mimowoli o Weronice, a nawet zdawało mu się czasem, że ona przychodzi do niego i wyznaje zaczerwieniona, jak serdecznie go kocha i jak stara się wydrzeć go widziałom, które go tylko dręczą i ośmieszają. Było chwilami, jakby waliła się nań nagle jakaś obca

siła i parła go niepowstrzymanie ku zapomnianej Weronice, on by zaś musiał iść za nią, gdzieby tylko zechciała, jakby był łańcuchami przykuty do tej dziewczyny.

Otóż w nocy, wnet potem właśnie, kiedy po raz pierwszy ujrzał Serpentyne w postaci czarownego dziewczęcia i poznał cudowną tajemnicę zaślubin Salamandra z Zielonym Wężem, Weronika stanęła mu przed oczyma żywiej, niż kiedykolwiek. — Tak! — nawet dopiero, kiedy się obudził, uprzytomnił sobie wyraźnie, że to mu się tylko śniło — bo przekonany był, że Weronika rzeczywiście jest u niego i skarży się z wyrazem rozdzierającego bólu, co go do głębi przenikał, że on poświęca jej szczerą miłość dla fantastycznych widziadła, które powodują tylko jego rozterkę wewnętrzną i jeszcze mogą wtrącić go w nieszczęście i zgubić. Weronika była powabniejszą, miłszą, niż kiedykolwiek; próżną czynił wysiłki, by o niej zapomnieć i stan ten sprawiał mu mękę, od której miał nadzieję się uwolnić na rannej przechadzce. Jakaś tajemna, magiczna siła ciągnęła go do bramy Pirnańskiej i właśnie miał zamiar skrócić w boczną ulicę, kiedy konrektor Paulmann, idąc za nim, zawołał głośno:

— Aj! aj! — najszanowniejszy panie An-

zelmus! — Amice! — Amice! — gdzież się pan podziewasz, u Boga Ojca? — Wcale się pan nie pokazujesz — może pan nie wiesz, że Weronika stęskniła się formalnie, żeby znowu co z panem zaśpiewać? — No, choć pan teraz, przecieżeś pan szedł do nas!

Student Anzelmus poszedł z konrektorem, przymuszony.

Kiedy wchodzili do domu, Weronika wyszła ku nim bardzo ładnie i starannie ubrana, tak że konrektor Paulmann zapytał, pełen zdziwienia:

— Cóż to, czemu tak wystrojona, czyż spodziewano się gości? — ale otóż prowadzę pana Anzelmusa!

Kiedy student Anzelmus całował grzecznie i dwornie rękę Weroniki, uczuł leciuchny uścisk, który płomieniem obleciał mu całe ciało.

Weronika była wprost samą wesołością, samym wdziękiem i skoro Paulmann wyszedł do swego gabinetu, potrafiła tak dalece rozruszać Anzelmusa przez różne przekomarzania się i filuterne dowcipy, że on zapomniawszy zupełnie o swojej nieśmiałości i w końcu uganiał się po całym pokoju za swawolną dziewczyną. Ale tu znowu zwałił mu się na kark demon niezręczności.

ci, młodzieniec zawadził o stół i ładna szkatułka Weroniki upadła na ziemię. Anzelmus podniósł ją, wieczko odskoczyło, błysnęło mu małe, metalowe zwierciadło, w które spojrzął z jakąś całkiem szczególną ochotą. Weronika chyłkiem podeszła z tyłu ku niemu, położyła mu rękę na ramieniu, i przyciskając się doń mocno, również patrzała mu przez ramię w zwierciadło. Anzelmus uczuł na to, że jakby jakaś walka poczyna mu się w duszy; — myśli — obrazy — wybliskiwały i znikały znowu — archiwarjusz Lindhorst — Serpentina — zielony wąż — wreszcie uspokoiło się wszystko, cały ten zamęt przetworzył się w jasną świadomość. Zrozumiał wyraźnie, że on ustawicznie myślał tylko o Weronice, że przecież owa postać, która zjawiła mu się wczoraj w niebieskim pokoju, była to również Weronika i że tę baśń fantastyczną o zaślubinach Salamandra z Zielonym Wężem, on przecież tylko napisał, ale wszak mu jej nie opowiedziano. Sam dziwił się swoim marzeniom i kładł je wyłącznie na karb swojego podniecenia duchowego wskutek miłości do Weroniki, jak również pracy u archiwarjusza Lindhorsta, w którego pokoju pachniało w dodatku jeszcze tak dziwnie odurzająco. Uśmieł się serdecznie z tego warjackiego przywidzenia, że-

by być zakochanym w jakimś małym wężu i brać dobrze uposażonego tajnego archiwarjusza za Salamandra.

— Tak, tak! — to jest Weronika! — zawołał głośno; ale odwracając głowę spojrzął prosto w niebieskie oczy Weroniki, z których promieniowała miłość i tęsknota. Głuche „Ach!“ wybiegło jej na usta, które w tej samej chwili zapłonęły na jego wargach.

— O, szczęście moje! — westchnął student w zachwycie — o czem wczoraj tylko marzyłem, to spełnia się już dzisiaj.

— I zechcesz naprawdę ożenić się ze mną, skoro zostaniesz radcą dworu? — zapytała Weronika.

— Ależ tak! — odpowiedział student Anzelmus; tymczasem drzwi zaskrzypiały i konrektor Paulmann wszedł, mówiąc: „no, drogi panie Anzelmus, nie puszczę już pana dzisiaj, nie pogardzisz pan u mnie obiadem, a potem Weronika przyrządzi nam pyszną kawę, i wypijemy ją sobie z registratorzem Heerbrandem, który także obiecał przyjść.

— Ach, najdroższy panie konrektorze — odparł student Anzelmus — czyż pan nie wie, że muszę iść do archiwarjusza Lindhorsta z powodu tego przepisywania? —

— Amice! — patrz no pan! — rzekł konrektor Paulmann, wyciągając zegarek kieszonkowy, pokazujący wpół do pierwszej.

Student Anzelmus zobaczył teraz, że o wiele zapóźno byłoby wędrować do archiwariusza Lindhorsta i tem chętniej zgodził się z życzeniami konrektora, że miał nadzieję patrzeć się przez cały dzień na Weronikę i może też otrzymać jakie ukradkowe spojrzenie, jakiś tkliwy uścisk dłoni, albo też może nawet zdobyć całusa.

Tak wysoko sięgały teraz zamiary studenta Anzelmusa, i robiło mu się coraz milej na sercu, im bardziej przekonywał się, że wnet uwolni się już zupełnie od fantastycznych urojeń, które zeń mogły istotnie uczynić zupełnie obłąkanego głupca.

Registrator Heerbrand zjawił się rzeczywiście po obiedzie, a kiedy wypił kawę, a wkrótce mrok zapadł, dał do zrozumienia, uśmiechając się chytrze i wesoło zacierając ręce; on ma coś przy sobie, co zamięszane i doprowadzone do właściwego kształtu przez piękne ręczki Weroniki, porządnie zrubrykowane i ustawione, gdzie trzeba, może im wszystkim uprzyjemnić chłodny wieczór październikowy.

— No, to prosimy na stół z temi tajemni-

czemi rzeczami, które pan nosi ze sobą, zacny panie registratorze! — zawołał konrektor Paulmann; ale pan registrator sięgnął do głębokiej kieszeni swojej zarzutki i trzema nawrotami wydobyl stamtąd flaszkę araku, cytryny i cukier. Zaledwie upłynęło pół godziny, kiedy wspaniały poncz dymił na stole Paulmanna. Weronika ponalewała każdemu, przyrządziła, i wśród przyjaciół rozpoczęły się bardzo miłe wesołe pogawędki.

Ale kiedy tak studentowi Anzelmusowi mocny trunek uderzył do głowy, powróciły mu znowu wszystkie obrazy tych cudów i dziwów, które niedawno przeżywał. Ujrzał archiwariusza Lindhorsta w jego adamaszkowym szlafroku, błyszczącym jak fosfor; ujrzał lazurowo błękitny pokój, złote drzewa palmowe, a wreszcie znowu zaczął uczuwać, że musi jednak wierzyć w Serpentyne; szumiało w nim, wrzało w nim wszystko.

Weronika podała mu szklanke ponczu; biorąc ją, dotknął zlekka jej ręki.

— Serpentyne! Weronika! — westchnął do siebie zcicha. Zapadł w głębokie rozmarzenie, ale registrator Heerbrand zawołał na cały głos: „to jednak zadziwiający starzec, z którego nikt nie będzie mądry, ten archiwariusz Lindhorst.

—No, jego zdrowie! — trąćmy się, panie Anzelmus!

Na to student Anzelmus zbudził się ze swoich snów i rzekł, trącając się z registrarzem Heerbrandem: „to wszystko dlatego, najszanowniejszy panie registrarze, że pan archiwarjusz Lindhorst jest właściwie Salamandrem, który zniszczył w gniewie ogród Księcia-Ducha Phosphorusa, bo odleciała od niego kochanka, Zielony Wąż!

— Co—jak? — zapytał konrektor Paulmann.

— Tak — mówił dalej student Anzelmus — i dlatego właśnie musi teraz być archiwarjuszem królewskim i mieszkać tu, w Dreźnie, ze swojemi trzema córkami, ale te córki, to po prostu trzy małe złotozielone wężyki, które wygrzewają się na słońcu w bżowych krzakach, śpiewają uwodzicielsko i wabią młodzieńców, jak syreny.

— Panie Anzelmus! Panie Anzelmus! — zawołał konrektor Paulmann — czy panu się w głowie przewróciło? dla Boga, co też pan plecie?

— On ma rację — wtrącił registrar Heerbrand — ten dziwny jegomość, ten archiwar-

jusz, to przekłety Salamander, co wytrząsa z palców ogniste prztyczki, które mogą niejednemu wypalić dziury w płaszczu, jak żarząca hupka. Tak, tak, masz rację, braciszku Anzelmusie, a kto temu nie wierzy, ten mój wróg!

I tu registrar Heerbrand wyrznął pięścią w stół, aż szklanki zabrzękły.

— Registrarze! czyś pan oszalał? — krzyknął rozłoszczony konrektor. — Panie student! panie student! co pan za hece urządza znowu?

— Ach! — powiedział student. — Z pana to także nic więcej, jak ptak-puhacz, który peruki fryzuje, panie konrektorze!

— Co? — ja ptak — puhacz — fryzjer? — krzyknął konrektor w najwyższej pasji. — Panie, pan jesteś warjat, warjat!

— Ale ta stara załazi mu dobrze za skórę — zawołał registrar Heerbrand.

— Tak, stara jest potężna — wtrącił student Anzelmus — chociaż niższego pochodzenia; bo jej tata to zwyczajny śmieć, obszarpane pióro od zamiętania kurzu, a jej mama to nędzna główka buraka, ale całą swoją siłę ona najbardziej zawdzięcza rozmaitym nienawistnym kreaturom, jadowitemu łajdactwu, które ją otacza.

— To jest obrzydliwe oszczerstwo — za-

wołała Weronika z gniewem rozbłysłymi oczyma — stara Elżbieta jest mądrą niewiastą, a czarny kot żadną tam jakąś nienawistną kreaturą, ale wykształconym, dobrze wychowanym młodzieńcem i jej „Cousin germain.“

— A czy on mógłby pożreć Salamandra, nie opaliwszy sobie brody i nie zginawszy marnie? — rzekł registrator Heerbrand.

— Nie, nie! — krzyknął student Anzelmus — ani teraz, ani nigdy tego niepotrafi: a Zielony Wąż kocha mnie, bo ja jestem duszą dziecięcą i zobaczyłem oczy Serpenty.

— Które kot wydrapie! — zawołała Weronika.

— Salamander — Salamander poskromi ich wszystkich — wszystkich — żągrzmiał konrektor Paulman w najwyższej wściekłości; — ale czy ja jestem w domu warjatów? — Czy ja sam zwarzowałem? Co ja za obłąkane głupstwa wygaduję? — Tak, jestem także warjat — także warjat!

Tu konrektor Paulmann skoczył, zerwał z głowy perukę i cisnął nią o sufit, aż jęły zgniecione loki i zupełnie zepsute, rozluźnione, sypnęły na wszystkie strony chmurami pudru. Wtedy student Anzelmus i registrator Heerbrand chwycili za wagę z ponczem, za szklanki, i

krzycząc radośnie, trjumfalnie, rzucali je w sufit, aż trzaskające skorupy dźwięcząc i brzęcząc, skakały i latały wszędy.

— Vivat Salamander! — pereat — pereat wiedźma! — rozbijcie metalowe zwierciadło, wyrwijcie kotowi oczy! — Ptaszki — ptaszki powietrzne — Eheu — Eheu — Evoe — Salamander!

Tak wrzeszczeli i ryczeli wszyscy trzej, jeden przez drugiego, jak opętani. Z płaczem uciekła stamtąd Frania; ale Weronika leżała na sofie, skowycząc z żalu i bólu.

Wtem drzwi otworzyły się, wszystko raptem umilkło, i wszedł jakiś mały człowiek w szarym płaszczyku. Twarz jego miała w sobie coś dziwacznie uroczystego, a pałąkowato zagięty nos, na którym siedziały wielkie okulary, wyróżniał się znakomicie wśród wszystkiego, co się kiedykolwiek widziało. Nosił także tak osobliwą perukę, że wydawała się ona raczej czapką z pierza.

— Aj, śliczne dobry wieczór! — zaskrzeczał ten śmieszny człowieczek — ja tu znajdę zapewne studenta, pana Anzelmusa? Najniższy ukłon od pana archiwarjusza Lindhorsta, że napróżno oczekiwał dziś pana Anzelmusa; ale jutro, kazał najuprzejmiej prosić, żeby nie zapominać o zwykłej godzinie.

Poczem zawrócił napowrót ku drzwiom i wyszedł, i wszyscy zobaczyli teraz doskonale, że ten uroczysty człowieczek był właściwie szarą papugą.

Pan konrektor Paulmann i pan registrator Heerbrand wybuchnęli śmiechem, co grzmiąco zahuczał przez pokój, a tymczasem Weronika jęczała i szlochała, jakby wijąc się w bolu bezmiernym, ale studenta Anzelmusa dreszczem przeniknął oblęd wewnętrznego przerażenia, rzucił się bez pamięci ku drzwiom i popędził przez ulice. Mechanicznie odnalazł swoje mieszkanie, swój pokój.

Wkrótce potem przyszła do niego spokojnie i przyjaźnie Weronika i zapytała: czemu on ją tak dręczył po pijanemu, i niech się tylko wystrzega nowych przywidzeń, kiedy będzie pracował u archiwariusza Lindhorsta.

— Dobranoc, dobranoc, mój drogi przyjacielu — wyszeptała cicho Weronika i tchnęła pocałunek na jego usta.

Chciał ją objąć swojemi ramionami, lecz owa postać senna znikła, i oto zbudził się rzeźkim i pokrzepionym.

Z całego serca śmiał się teraz ze skutków ponczu; ale myśląc o Weronice, czuł, że go przenika rokoszne jakieś uczucie ukojenia. Jej

tylko, mówił do siebie, mam do zawdzięczenia, żem się pozbył swoich niedorzecznych przywidzeń. Doprawdy, nielepiej mi było, niż temu, który myślał, że jest szklany, albo temu, który nie wychodził z pokoju z obawy, że go kury zjedzą, bo wyobraził sobie, że jest ziarnkiem jęczmienia. Ale skoro zostanę radcą dworu, ożenię się bez namysłu z panną Paulmann i będę szczęśliwy.

Kiedy przechodził teraz w południe przez ogród archiwariusza Lindhorsta, nie mógł się dosyć nadziwić, jak mogło mu się to wszystko wydawać tak szczególnem i cudownem. Nie widział nic, oprócz zwykłych doniczkowych roślin, rozmaitych geranji, myrthów i t. p. Zamiast olśniewających, barwistych ptaków, które wyśmiewały się dawniej z niego, trzepotało się tylko gdzieniegdzie kilka wróbli, które podniosły niezrozumiały, nieprzyjemny wrzask, skoro zobaczyły Anzelmusa. Niebieski pokój wydał mu się również zupełnie innym, i nie mógł zrozumieć, jak mógł mu się choć na chwilę podobać, jego jaskrawa niebieska barwa oraz nienaturalne złote pnie drzew palmowych z bezkształtnymi, błyszczącymi liśćmi.

Archiwariusz spojrzał nań z całkiem szczególnym, ironicznym uśmiechem i zapytał:

— No i jakże panu smakował wczorajszy poncz, drogi Anzelmusie?

— Ach, panu z pewnością już papuga... — odpowiedział student, bardzo zawstydzony; ale urwał; bo tu znowu pomyślał o tem, że pojawienie się papugi było zapewne również złudzeniem odurzonych zmysłów.

— Aj, ja sam byłem przecież w tem towarzystwie — wtrącił archiwariusz Lindhorst — czyś mnie pan nie widział? Ale wobec tych warjackich wybryków, którychście się dopuszczali, mogliście byli może mnie mocno uszkodzić; bo ja siedziałem właśnie wtedy jeszcze w wazie, kiedy registrator Heerbrand chwycił za nią, aby nią rzucić o sufit, no i musiałem szybko zrejterować w główkę od fajki konrektora. A teraz, adieu, Panie Anzelmus! — bądź pan pilnym, zapłacę bitego talara również za wczorajszy, opuszczony dzień, boś pan dotychczas tak dzielnie pracował.

— Jakżeż ten archiwariusz może bajać takie warjackie androny! — rzekł do siebie student Anzelmus i zasiadł przy stole, aby rozpocząć przepisywanie rękopisu, który archiwariusz postawił przed nim, jak zwykle. Ale na rulonie pergaminu zobaczył tak wiele wijących się bezładnie kropek; zakrętów, które mąciły wzrok,

nie dając żadnego punktu oparcia, że wydało mu się prawie niemożliwem przemałować dokładnie to wszystko. A całość rękopisu robiła wrażenie, jakby pergamin był poprostu upstrzonym przeróżnemi żyłkami marmurem, albo też kamieniem przez mchy porysowanym.

Nie zważając na to, chciał spróbować, co tylko było w jego mocy i śmiało zanurzył pióro w kałamarzu; ale atrament nie chciał zupełnie spływać, strzepnął niecierpliwie pióro, i — o nieba! — wielki kleks upadł na rozłożony oryginał. Z sykiem i szumem wypadła z kleksu tego błękitna błyskawica i z trzaskiem przewiła się węzowo przez pokój aż pod powałę. Na to wykwitły gęste dymy ze ścian, liście zaczęły szumieć, jakby wstrząśnięte przez burzę i z wnętrza ich runęły na dół migotliwe bazyliuszki wśród błyskających płomieni, zapalając te dymy, tak że trzeszczące masy ognia kłębiły się wkoło Anzelmusa. Złote pnie drzew palmowych stały się olbrzymiemi węzami, które z przerażliwym metalicznym dźwiękiem zczepiły swoje ohydne głowy, a łuską pokrytemi ciałami owinęły Anzelmusa.

— Szaleńcze! ponieś że teraz karę za to, coś uczynił w bezczelnem zuchwalstwie!

Tak zagrzmiął straszliwy głos ukoronowa-

nego Salamandra, który zjawił się nad węzami, jak oślepiający promień wśród płomieni, i teraz rozwarte ich paszcze miały katarakty ognia na Anzelmusa, i było, jakby te strumienie ognia zgęszczały mu się wokół ciała, stając się mocną, lodowo zimną masą, Ale podczas, gdy kurcząc się coraz ciaśniej i ciaśniej, drętwiały, tężały mu członki, przytomność go opuściła.

Kiedy znowu przyszedł do siebie, nie mógł się ruszyć, otaczał go jakby olśniewający blask, o który uderzał się, jeżeli tylko chciał podnieść rękę, lub wogóle jakoś się poruszyć.

Ach! on siedział w szczelnie zatkanej butelce, na półce w pokoju bibliotecznym archiwariusza Lindhorsta.

Wigilja dziesiąta.

Cierpienia studenta Anzelmusa w szklanej butelce.—Szczęśliwy żywot seminarzystów i praktykantów.—Bitwa w pokoju Lindhorsta.—Zwycięstwo Salamandra i oswobodzenie studenta Anzelmusa.

Z dużą słuszością mogę chyba wątpić, łaskawy czytelniku, czyś siedział kiedy zamknięty w szklanej butelce, chyba, że jakiś żywy, przekorny sen obdarzył Cię takim bajecznym wrażeniem. Jeżeli tak było, to bardzo żywo odczujesz ciężki los biednego studenta Anzelmusa. Ale jeżeliś nie śnił nigdy o czymś podobnym, to niechże Cię Twoja bujna wyobraźnia zamknie na kilka chwil w kryształ dla przypodobania się mnie i Anzelmusowi.

Zewsząd otacza Cię oślepiający blask, wszystkie przedmioty naokół jawią Ci się otoczone i oświetlone barwami tęczy — wszystko drży i waha się i dźwięczy w tych lśnieniach — pły-

niesz, nie mogąc się ruszyć, jakby w mocno zamrzłym eterze, który tak ciebie ściska, że próżno Duch rozkazuje zmartwialemu ciału. Coraz ciężej, coraz ciężej ugniata centnarowe brzemie pierś Twoją, coraz więcej, coraz więcej, zabiera każdy oddech tych resztek powietrza, które bujają jeszcze w tej ciasnej przestrzeni — żyły Twoje pęcznieją, a każdy nerw się trzęsie, przebity strachem okropnym, krwawiący się w walce śmiertelnej.

Współczuj, łaskawy czytelniku, studentowi Anzelmusowi, który doświadczył tych niewysłowionych mąk w swoim szklanym więzieniu; ale on czuł doskonale, że śmierć go nie może wyzwolić: bo czyż nie ocucił się z tego głębokiego omdlenia, w które popadł w nadmiarze swej męki, kiedy już słońce ranne zajrzało jasno, wesoło do pokoju i czyż jego męka nie zaczęła się na nowo? Nie mógł żadnym członkiem ruszyć; lecz myśli jego uderzały o szkło, ogłuszając go fałszywymi dźwiękami, i zamiast słów, któremi dawniej duch przemawiał z głębin jego istoty, słyszał tylko ponury, mętny szum obłąkania.

I wtedy krzyknął w rozpacz: „O Serpentyńo. — Serpentyńo, ratuj mię od tych mąk piekielnych!

I było, jakby owiały go ciche, lekkie westchnienia, które pokładły się wokół na butelce, jak przejrzyste, bżowe liście; ustało dźwięczenie, zniknął oślepiający, mącący zmysły blask, i on odetchnął lżej.

— Czyż nie ja sam jestem winien swojej nędzy? ach! czyż nie bluźniłem nawet przeciw tobie samej, słodka, ukochana Serpentyńo? Czyż nie wyrażałem co do Ciebie podłych wątpliwości? Czyż nie utraciłem Wiary, a z nią wszystkiego, wszystkiego, co mnie mogło tak szczerzyście uszczęśliwić? Ach, teraz to już pewno nigdy nie będziesz moją, przepadł już dla mnie złoty garnek, nigdy już pewno nie ujrzę jego cudów! Ach, tylko jeden, jedyny raz Cię zobaczyć, Twój słodki głos usłyszeć, Serpentyńo najmilsza!

Tak jęczał student Anzelmus, ogarnięty głębokim, przenikającym bolem; wtem rzekł ktoś tuż obok niego: „nie mam pojęcia, o co panu chodzi, panie studencie, czemuż pan tak lamentujesz nad wszelki wyraz?

Student Anzelmus zobaczył, że na tej samej półce stało jeszcze pięć butelek, w których dojrzał trzech seminarzystów i dwóch praktykantów.

— Ach, moi panowie, współtowarzysze nie-

doli — zawołał — jakżeż możecie być tak swobodnymi, nawet tak zadowolonymi, jak to widzę po waszych wesołych twarzach? Siedzicie przecież równie dobrze zamknięci w szklanych butelkach, jak ja, i nie możecie ani palcem ruszyć, nie możecie nawet pomyśleć czegoś do rzeczy, żeby nie powstał zaraz zabójczy hałas z dzwonieniem i dźwiękaniem, i żeby nie zaczęło wam straszliwie szumieć i huczeć w głowie. Ale wy z pewnością nie wierzycie w Salamandra i w Zielonego Węża? —

— Bajesz pan zdrowo, mój panie student — odpowiedział jeden z seminarzystów — nigdy nam nie było lepiej, niż teraz: bardzo nam się przydały owe bite talary, któreśmy otrzymali od tego warjata archiwarjusza za najrozsądniejsze pokrecone przepisywania; nie potrzebujemy już teraz się uczyć na pamięć żadnych chórów włoskich, chodzimy sobie codziennie do Józefa, albo do jakiej innej knajpy, popijamy znakomite piwo, zaglądamy też nieraz w oczy ładnym dziewczynom, śpiewamy, jak prawdziwi studenci: „gaudeamus igitur“ i jesteśmy zadowoleni z całej duszy.

— Macie panowie zupełną słuszość — wtrącił jeden z praktykantów — i ja także jes-

tem bogato uposażony w bite talary, jak również mój drogi kolega obok mnie, i pilnie odbywam przechadzki na Winną Górę zamiast siedzieć wśród czterech ścian przy tej okropnej pisaninie aktów.

— Ależ, moi dobrzy, najzaczniejsi panowie — rzekł student Anzelmus — czyż panowie nie odczuwacie, że wy wszyscy razem i każdy z osobna siedzicie w szklanych butelkach i nie możecie przecież nawet palcem ruszyć, a tem mniej jeszcze spacerować, gdzie wam się podobą?

Na to seminarzyści i praktykanci wybuchnęli głośnym śmiechem i zakrzyknęli:

— Ten student zwarzjował, zdaje mu się, że **siedzi** w szklanej butelce, a on stoi na moście na Elbie i patrzy się prosto w wodę. E, chodźmy sobie stąd!

— Ach — westchnął student — tacy nie oglądali nigdy słodkiej Serpenty, oni nie wiedzą co to jest Wolność i życie w Wierze i Miłości! dlatego też nie odczuwają ucisku więzienia, w jakie ich wtrącił Salamander, nie pozwala im na to ich głupota, ich prostactwo; ale ja, nieszczęśliwy, zginę w hańbie i nędzy, jeżeli nie wyratuje mnie ta, którą tak bezgranicznie kocham.

A wtedy wionął i zaszeleścił przez pokój głos Serpentyńy:

— Anzelmusie! wierz, kochaj, miej nadzieję!—

I wszystkie te dźwięki promieniowały do wnętrza więzienia Anzelmusa, kryształ ustępował przed ich potęgą i rozkurczał się, tak, że pierś uwięzionego mogła się wzdymać i poruszać. Coraz bardziej zmniejszały się jego męki i widział teraz, że Serpentyńa go jeszcze kocha, i że to ona tylko czyni mu pobyt w kryształach możliwym do zniesienia. Przestał już zważać na swoich lekkomyślnych towarzyszków niedoli, lecz skierował swe myśli i czucia jeno ku słodkiej Serpentyńie.

Ale wtem z innej strony powstało jakieś gluche, wstrętne mruczenie. Wkrótce już mógł zauważyć dokładnie, że mruczenie to wychodziło z jakiegoś starego imbryka od kawy, który stał naprzeciwko niego na małej szafce. Kiedy tak patrzył nań pilnie, coraz wyraźniej rozwijały się przed nim odrażające rysy jakiejś starej, pomarszczonej twarzy i naraz stanęła przed półkami kobieta oś jabłek z pod Czarnej Bramy. Która wykrzywiła się, zaśmiała się do niego i zawołała przeraźliwie:

— Aj, aj, synku! — co też to musisz zno-

sić? — W kryształach teraz twoje żale! Czyż nie przepowiedziałam ci tego oddawna?

— Szydź no teraz i drwij ze mnie, przeklęta czarownico — powiedział student Anzelmus — Ty jesteś wszystkiemu winna, ale Salamander dostanie cię, nędzna główko buraka!

— Ho, ho! — odparła stara — tylko nie tak dumnie! Ty synkowi mojemu na twarz nastąpiłeś, ty mnie nos oparzyłeś, ale ja ciebie lubię jeszcze, hultaju jeden, bo kiedyś byłeś przyzwoitym człowiekiem, i moja córuchna także ciebie lubi. Ale z tego kryształu to już nigdy nie wyjdiesz, jeżeli ja ci nie pomogę; dostać się do ciebie tak wysoko nie mogę; ale mój pan kum, szczur, który mieszka zaraz koło ciebie, na strychu, ten przegryzie półkę, na której stoisz, wtedy fikniesz na dół, a ja złapię cię w fartuch, żebyś sobie nosa nie rozbił, ale zachowaj swoją gładziuchną twarzyczkę, i w lot cię zaniósę do mamzel Weroniki, z którą się musisz ożenić, skoro zostaniesz radcą dworu.

— Odczep się odemnie, ty pomociu djabelski! — krzyknął student Anzelmus, pełen wściekłego gniewu — tylko twoje sztuki piekielne pobudziły mnie do zuchwalstwa, które muszę teraz odpokutować. — Ale cierpliwie zniosę wszystko: bo tu tylko mogę istnieć, gdzie

słodką Serpentina otacza mnie miłością i po-
krzepieniem. — Usłysz to, stara, i zwątpij! Nie
uleknę się twojej mocy, kocham wiecznie tylko
Serpentyne — nigdy nie zechcę zostać radcą
dworu — nigdy już zobaczyć Weroniki, która
mnie przez ciebie pociąga ku złemu! — Jeżeli
nie ma już do mnie należeć Zielony Wąż, to
niechaj zginę w tęsknocie i bólu! — Idź precz—
idź precz — ty podły śmieciu buraczany!

Tu stara wybuchnęła takim przeraźliwym
śmiechem, że aż odebrzmiał w pokoju, i zawo-
łała:

— To siedźże tu sobie i giń, ale teraz już
czas wziąć się do dzieła: bo ja tu przyszląm
załatwić jeszcze inne sprawy.

Zdjęła swój czarny płaszcz i stanęła w ohyd-
nej nagości, potem zaczęła biegać wokoło, i po-
spadały z góry wielkie foljały, z których wy-
rywała karty pergaminu i spajając je szybko,
kunsztownie ze sobą i nakładając je na ciało,
przybrała się wkrótce jakby w dziwaczny, bar-
wisty pancerz. Miotając ognie, wyskoczył czar-
ny kocur z kałamarza, co stał na stole, i za-
wył ku starej, która krzyknęła głośno z radości
i zniknęła z nim razem za drzwiami. Anzelmus
dostrzegł, jak poszli do niebieskiego pokoju,

i wnet usłyszał w oddali syki, świsty i huki, pta-
ki w ogrodzie krzyczały, papuga skrzeczała:

— Ratuń — ratuj! rabuś — rabuś!

W tej chwili stara wpadła napowrót do po-
koju, niosąc złoty garnek na ramieniu i krzy-
cząc dziko, rozgłośnię w ohydnych podskokach
i grymasach:

— Dobra nasza! — Dobra nasza! Synku,
zabij Zielonego Węża! dalejże, Synku, dalej!

Anzelmusowi zdało się, że słyszy głęboki
jęk, że słyszy głos Serpenty. I ogarnęła go
zgroza i rozpacz.

Zebrał się w sobie, skupił wszystkie siły,
uderzył sobą w kryształ z taką mocą, że mogły
mu popękać wszystkie nerwy, wszystkie żyły—
przeraźliwy dźwięk przeleciał przez pokój i we
drzwiach stanął archiwarjusz w swoim błyszczą-
cym adamaszkowym szlafroku.

— Hej, hej! — hołota, straszidła, wściek-
łe — strzygi czarownicze — do nogi tu — hej
ha! —

Tak krzyknął. Na to zjeżyły się czarne wło-
sy więdźmy, jak szczecina, żarząco czerwone
jej oczy zabłysły piekielnym ogniem, i zacis-
kając śpiczaste zęby szerokiej paszczy, zasycza-
ła: — „bierz go—bierz, — krzesz ognia, krzesz!“
—i śmiała się, i beczała jak koza, szydząc i

drwiąc, i przyciskała do siebie mocno złoty garnek i rzucała z niego garście błyszczącej ziemi na archiwarjusza, ale kiedy ta ziemia dotykała szlafroka, tworzyły się z niej kwiaty, które opadały na ziemię. A wtedy zajaśniały, zapłonęły lilje szlafroka i archiwarjusz ciskał płonące trzaskającym ogniem lilje na czarownicę, która wyła z bóleści; ale kiedy podskakiwała w górę i wstrząsała pergaminowym pancerzem, lilje ugaszały i rozpadały się w popiół.

— Bierz ją, bierz, mój chłopcze! — zarzeszczała stara — i na to czarny kocur wzbił się w powietrze i leciał ze świstem i szumem ku drzwiom ponad archiwarjuszem; ale szara papuga załopotana naprzeciw niego i schwyciła go zakrzywionym dziobem za kark, aż z szyji mu wytrysnęła krew czerwona, ognista, a głos Serpentyńy zawołał:

— Ocalona, ocalona!

Tu stara w rozpaczliwej wściekłości skoczyła wprost na archiwarjusza, rzuciła złoty garnek za siebie, i wysuwając długie palce suchych pięści, chciała wpić w niego swe szpony; ale ten szybko zerwał z siebie szlafrok i rzucił go na wiedźmę. A wtedy zaświszczały, zahuczały, posypały się z kart pergaminu błękitne, trzaskające płomienie i stara wyla się w wyjących

boleściach i starała się coraz więcej ziemi z garnka wybierać, coraz więcej kart pergaminowych z książek wyrywać, aby zagasić buchające płomienie i jeśli udawało się jej rzucić na siebie ziemię, lub karty pergaminu, to ogień zagaszał.

Ale tu, jakby z wnętrza archiwarjusza, rzuciły się na starą błyskające, syczące promienie.

— Hej — hej! W pień ich, w pień! — Górą Salamander! — zagrzmiął potężnie głos archiwarjusza i sto piorunów przewiło się w ognistych kręgach nad skwierczącą wiedźmą.

Rzęząc i chrzęszcząc we wścieklej walce ze sobą łopotali po całym pokoju kocur i papuga. Ale wkońcu papuga przybiła kocura krzepkiemi skrzydłami do ziemi i przeszywając go i trzymając mocno pazurami, że aż w strachu śmiertelnym wył i jęczał okropnie, wyluszczyła mu ostrym dziobem żarzące ślepie, aż wytrysnęła z nich piana ognista.

Gęsty dym kłębił się tam, gdzie leżała była pod szlafrokiem stara, obalona na ziemię; jej wycie, jej straszliwe, rozdzierające, żałośliwe wrzaski przebrzmiały już w dali dalekiej. I wreszcie zniknął ów dym, co rozszedł się wszędy wraz z przenikającym smrodem, archiwarjusz pod-

niósł szlafrok i oto pod nim leżała jakaś obrzydliwa główka buraka.

— Czcigodny panie archiwarjusz, oto przynoszę panu zwyciężonego wroga — rzekła papuga, podając archiwarjuszowi Lindhorstowi jakiś czarny włos.

— Bardzo dobrze, moja kochana — odparł archiwarjusz — tu leży również moja zwyciężona przeciwniczka, zajmij się teraz z łaski swojej resztą; dzisiaj jeszcze otrzymasz, jako drobny upominek sześć kokosowych orzechów i nowe okulary, bo jak widzę, ten kocur paskudnie ci rozbił szkła.

— Zawsze na Twoje usługi, czcigodny przyjacielu i łaskawco — odpowiedziała papuga, bardzo uradowana, podjęła dziobem główkę buraka i wyleciała z nią za okno, które jej roztworzył archiwarjusz Lindhorst.

Ten zaś uchwycił złoty garnek i zawołał mocno:

— Serpentyno! Serpentyno!

Ale kiedy teraz student Anzelmus, uszczęśliwiony z pognębienia podłej wiedzy, spojrzał na archiwarjusza, była to znowu majestatyczna wzniosła postać Księcia-Ducha, który patrzył nań z nieopisaną słodyczą i godnością.

— Anzelmusie — rzekł Książę-Duch — nie

Ty byłeś przyczyną niewiary Twojej, lecz tylko wrogi żywioł, co usiłował przeniknąć w Twoją duszę i rozłamać ją. Dałeś dowody wierności Twojej, bądź wolny i szczęśliwy.

Błyskawica załśniła w duszy Anzelmusa, wspaniały trójdźwięk kreszałowych dzwonów zabrzmiał mu silniej i dźwięczniej, niż kiedykolwiek, zadrżały w nim wszystkie włókna i nerwy — lecz coraz mocniej nabrzmiewał dźwięczący w pokoju akord — szkło, co więziło Anzelmusa, pękło — i on upadł w ramiona słodkiej, najmiłszej Serpentyny.

Wigilja jedenasta.

Niepokój konrektora Paulmanna z powodu obłędu, co wybuchł w jego rodzinie. — Jak registrator Heerbrand został radcą dworu i przyszedł podczas najcięższego mrozu w trzewikach i jedwabnych pończochach. — Wyznania Weroniki. — Zaręczyny przy dymiącej wazie z zupą.

— Ależ powiedzże mi pan, najszanowniejszy registratorze, jakże nam wczoraj mógł ten przeklęty poncz tak uderzyć do głowy i popchnąć ku tyłu przeróżnym „Allotriis“?

Tak powiedział pan konrektor Paulmann, wchodząc następnego ranka do pokoju, co pełen był jeszcze potrzaskanych skorup, i na którego środku pływała w ponczu nieszczęsna peruka, roztrzęsiona na swoje części składowe.

Skoro student Anzelmus wybiegł był za drzwi, pan konrektor Paulmann i pan registrator Heerbrand zataczali się chwiejnie po całym pokoju, wrzeszcząc jak opętani i uderzając głowami o siebie, aż wreszcie Frania zaprowa-

dziła nietrzeźwego tatę z wielkim trudem do łóżka, a registrator, zupełnie wyczerpany osunął się na kanapę. którą, uciekwszy do swojej sypialni, opuściła Weronika.

Pan registrator Heerbrand miał głowę okreconą niebieską chustką od nosa, wyglądał bardzo blado i melancholijnie i jęczał:

— Ach, drogi konrektorze, to nie ten poncz, który mamzel Weronika przyrządza cudnie, nie! — to tylko ten przeklęty student winien tym wszystkim warjactwom. Czyś pan nie zauważył, że on już od dawna jest „mente captus“? Ale czyż pan także nie wiesz, że obłęd jest zaraźliwym? Jeden kiep robi wielu; przepraszam pana, to jest stare przysłowie; szczególnie zaś, kiedy się sobie trochę podpije, to łatwo się wtedy ulega szaleństwu i mimowoli naśladuje się i wpada się w ekscesy, które wyprawia przed nami taki egzemplarz. Czyżbyś pan uwierzył, konrektorze, że mi się jeszcze w głowie zawraca, kiedy pomyślę o tej szarej papudze?

— Ach, co znowu — przerwał konrektor — głupstwo! — to był przecież ten mały, stary „famulus“ Lindhorsta, który wziął na siebie szary płaszcz i szukał studenta Anzelmusa.

— Może być — odparł registrator Heerbrand — ale muszę się przyznać, że jest mi ja-

koś zupełnie głupio na sercu; przez calusieńką noc coś tak dziwnie trąbiło i świszczalo.

— To ja — odpowiedział konrektor — bo ja mocno chrapie.

— No, niech i tak będzie — mówił dalej registrator — ale konrektorze, konrektorze! — nie bez przyczyny starałem się wczoraj urządzić nam coś wesołego — ale ten Anzelmus popsuł mi wszystko. Pan nie wiesz — o konrektorze, konrektorze!

Pan registrator Heerbrand wstał, zerwał z głowy chustkę, chwycił konrektora w objęcia, ogniście go ścisnął za rękę, jeszcze raz zawołał całkiem rozdzierająco: „o konrektorze, konrektorze!“ — i złapawszy łaskę i kapelusz, szybko popędził w świat.

— Anzelmus nie przestąpi już progu mego domu — rzekł konrektor Paulmann — bo widzę teraz doskonale, że jego zakamieniały obłęd wewnętrzny odbiera najlepszym ludziom to ich żdźbło rozsądku; registrator jest teraz także gotów — ja się jeszcze dotychczas trzymałem, ale djabeł, który mocno dobijał się wczoraj w pijackim odurzeniu, mógłby wszak wreszcie dobrać się do mnie i zacząć swoją zabawę. — A więc „apage satanas!“ — precz z Anzelmusem!

Weronika wpadła w głębokie zamyślenie, nie odzywała się ani słowem, tylko chwilami uśmiechała się całkiem szczególnie i najlepiej lubiła być samą.

— Tej także Anzelmus ciąży na myślach — mówił konrektor, pełen złości — ale to dobrze, że on się wcale nie pokazuje, wiem, że on się mnie boi — ten Anzelmus, dlatego tu wcale nie przychodzi.

Ostatnie słowa wyrzekł konrektor Paulmann zupełnie głośno, a na to Weronice, która była przy tem, łzy popłynęły z oczu, i westchnęła:

— Ach, czyż Anzelmus może tu przyjść? — jego już oddawna zamknięto w szklaną butelkę.

— Co? Jak? — zawołał konrektor Paulmann. — Ach, Boże — ach Boże, i ona już także plecie tak samo, jak registrator, już zaraz nastąpi katastrofa. — Ach ty przeklęty, obrzydliwy Anzelmusie!

Natychmiast popędził do doktora Ecksteina, który uśmiechnął się i znów powiedział:

— Aj, aj!

Ale nic nie zapisał, dodał tylko do tego, co tak krótko oświadczył, jeszcze następujące wskazówki:

— Nerwowe przypadłości! — to samo

przejdzie — wyprowadzać na powietrze —
wyjeżdżać na spacer — rozerwać się — te-
atry — wizyty — koncerty — jakoś to pó-
jdzie!

— Rzadko kiedy był doktor tak wymowny
— myślał konrektor Paulmann — porządnie się
nagadał!

Upłynęło wiele dni, i tygodni, i miesięcy,
Anzelmus gdzieś zniknął, ale pan registrator
Heerbrand również się nie pokazywał, aż do
czwartego lutego, kiedy wszedł w nowym, mod-
nem ubraniu z najlepszego materiału, w trze-
wikach i jedwabnych pończochach pomimo tę-
giego mrozu, z bukietem żywych kwiatów w
ręku, punktualnie o dwunastej w południe do
pokoju konrektora Paulmanna, który niemało
się zadziwił na widok swojego wystrojonego
przyjaciela.

Uroczyście przystąpił pan registrator Heer-
brand do konrektora, objął go z wytworną ele-
gancją i powiedział:

— Dzisiaj, w dniu imienin pańskiej drogiej,
szanownej mamzel Weroniki, chciałbym naresz-
cie wypowiedzieć wszystko, co mi oddawna le-
żało na sercu! Wtedy, w ów nieszczęśliwy wie-

czór, kiedy tu przyniósł w kieszeni ingredjen-
cje do tego zabójczego ponczu, miałem zamiar
obwieścić panu radosną nowinę i wesoło prze-
pędzić ów dzień szczęśliwy; już wtedy dowie-
działem się, że zostałem radcą dworu, na które
to wyższe stanowisko otrzymałem obecnie pa-
tent „cum nomine et sigillo principis“ i mam
go przy sobie w kieszeni.

— Ach, ach! panie registr... panie radco
dworu Heerbrand, chciałem powiedzieć — wy-
bełkotał konrektor.

— Ale pan, szanowny panie konrektorze—
mówił dalej obecny radca dworu Heerbrand:
pan dopiero możesz dopełnić miary mojego
szczęścia. Dawno już w cichości kochałem mam-
zel Weronikę i mogę się poszczycić pewnymi
przyjaznymi spojrzeniami, którymi mnie obda-
rzała i które wyraźnie mi pokazały, że chyba
nie będzie niełaskawą na mnie. Krótko mówiąc
— najszanowniejszy konrektorze, — ja, radca
dworu Heerbrand, proszę o rękę pańskiej kocha-
nej, ślicznej „demoiselle“ córki Weroniki, któ-
rąbym pragnął niezadługo zabrać do siebie, o
ile szanowny pan nie ma nic przeciwko temu.

Konrektor Paulmann klasnął w ręce ze zdu-
mienia i zawołał:

— Aj — Aj — Aj — panie registr... pa-

nie radco dworu, chciałem powiedzieć, któżby to był pomyślał! — No, jeśli Weronika pana rzeczywiście kocha, to ja ze swojej strony nie mam nic przeciwko temu; może też jej ciężkie przygnębienie obecne jest tylko ukrytem zachowaniem się w panu, najszanowniejszy panie radco dworu; znane to — rzeczy.

W tej chwili weszła do pokoju Weronika, blada i pomieszana, jaką teraz bywała zwykle. Radca dworu Heerbrand podszedł do niej, powinszował jej w składnej mowie imienin i podał wraz z pachnącym bukietem małą paczuszkę, z której, skoro ją otworzyła, zabłysła para lśniących kolczyków. Przelotny rumieniec ubarwił jej policzki, oczy zajaśniały żywiej, i zawołała:

— Aj, mój Boże, toć to te same kolczyki, które nosiłam już przed kilku miesiącami i ba-wiłam się niemi!

— Jakże to być może? — rzekł radca dworu Heerbrand, nieco zmieszany i urażony — kiedy ja zaledwie godzinę temu kupiłem ten klejnot przy ulicy Zamkowej, za wcale poważną sumę?

Ale Weronika niesłuchała tego, tylko stała przed lustrem, przymierzając kolczyki, które założyła sobie zaraz w swoje małe uszka.

Konrektor Paulmann oznajmił jej z uroczystą

miną i surowym tonem o odznaczeniu przyjaciela Heerbranda i o jego oświadczeniach. Weronika spojrzała na radcę dworu przejmująco i rzekła:

— O tem już oddawna wiedziałam, że pan chcesz ożenić się ze mną. — A więc — niech tak będzie! — przyrzekam panu serce i rękę, ale muszę wam przedtem zaraz — to znaczy wam obydwom, ojcu i narzeczonemu — wyznać coś, co mi oddawna ciąży na duszy — i to zaraz, w tej chwili, choćby stąd miała zupa ostygnąć, którą, jak widzę, Frania stawia na stole.

I nie czekając na odpowiedź konrektora i radcy dworu, chociaż widocznie słowa drżały im na ustach, Weronika mówiła dalej:

— Możesz mi wierzyć, drogi ojcze, że ja całem sercem kochałam studenta Anzelmusa, a kiedy registrator Heerbrand, który sam teraz został radcą dworu, zapewniał, że Anzelmus mógłby być dojść do czegoś podobnego, postanowiłam, że on, a nie kto inny, ma zostać moim mężem. Ale ponieważ zdawało się, że jakieś obce, wrogie istoty chcą mi go odebrać, więc uciekłam się do starej Elżbiety, która była niegdyś moją piastunką, a teraz jest mądrą niewiastą, wielką czarodziejką. Ona obiecała mi pomódz i oddać całkowicie w moje ręce An-

zelmusa. Poszliśmy z nią o północy, podczas porównania dnia z nocą, na rozstajne drogi, ona zaklęła duchy piekielne i z pomocą czarnego kocura sporządziłyśmy małe, metalowe zwierciadło, w które potrzebowałam tylko spojrzeć, skierowawszy myśli moje na Anzelmusa, aby całkiem zapanować nad jego myślą i uczuciem. Ale teraz żałuję z całego serca, że to wszystko zrobiła, wyrzekam się wszelkich spraw szatańskich. Salamander zwyciężył starą, słyszałam jej żalosne krzyki, ale już nie było żadnego ratunku; a skoro pożarła ją, jako główkę buraka, papuga, moje metalowe zwierciadło pękło z przeraźliwym dźwiękiem.

Weronika wyjęła ze szkatułki obydwie kawałki rozbitego zwierciadła oraz pęk włosów i podając radcy dworu Heerbrandowi jedno i drugie, mówiła dalej:

— Weź pan teraz, najdroższy radco dworu, te kawałki zwierciadła, rzuć je pan dzisiaj, o dwunastej w nocy, z mostu na Elbie do rzeki, i to z tego miejsca, gdzie stoi krzyż—tam rzeka niezamarznięta—ale pęk włosów zachowaj pan na wiernej piersi. Jeszcze raz się wyrzekam wszelkich spraw szatańskich i całym sercem winszuję Anzelmusowi jego szczęścia, bo on teraz połączył się z Zielonym Wężem, z Serpen-

tyną, która jest daleko piękniejszą i bogatszą odemnie. Chcę teraz, najdroższy radco dworu, pana kochać i poważać, jako prawowita pańska małżonka!

— Ach Boże! — ach Boże! — zawołał z bolem konrektor Paulman — ona jest obłąkana — ona jest obłąkana — ona nigdy nie będzie mogła zostać radczynią dworu — ona jest obłąkana!

— Ani trochę — przerwał mu radca dworu Heerbrand — wiem bardzo dobrze, że mamzel Weronika miała pewną skłonność do tego niepoczytalnego Anzelmusa, i dosyć możliwem jest że zbyt wiele sobie z tego robiąc, zwróciła się do tej mądrej kobiety, która, jak sędzę, nie może być chyba kim innym, jak tą co to wróży z kart i z leżącej się kawy, tą zprzed bramy Morskiej, krótko mówiąc, starą Rauerinową.

A teraz niepodobna także zaprzeczyć, że może naprawdę istnieją sztuki tajemne, które raczej zbyt wyraźnie dają człowiekowi poznać swoje szkodliwe wpływy — czytaliśmy już o tem u starych; ale to, co mamzel Weronika mówiła o zwycięstwie Salamandra i połączeniu się Anzelmusa z Zielonym Wężem, jest zapewne tylko poetyczną alegorją — a zarazem po-

ematem, w którym wyśpiewała swoje ostateczne pożegnanie ze studentem.

— Niech pan to uważa, za co się panu podoba — drogi radco dworu — choćby za bardzo niedorzeczne marzenie.

— Żadną miarą tego nie uczynię — zaprzeczył radca dworu Heerbrand — bo ja wiem doskonale, że Anzelmusa również opętały mocce tajemne, które pobudzają go i zmuszają do wszelkich możliwych warjackich wybryków.

Dłużej już konrektor Paulmann nie mógł wytrzymać i wybuchnął:

— Stójcie, na miły Bóg, stójcie! Czyśmy się znowu popili tym przeklętym ponczem, czy też może Anzelmusowy obłęd nas ogarnia? Panie radco dworu, co pan także znowu za jakieś bajdy opowiada? Jabyś chciał tymczasem wierzyć, że to miłość panu takie figle wyprawia w mózgu; ale to wszystko zaraz przejdzie w małżeństwie, inaczej obawiałbym się, czy i pan także nie wpadniesz w jaki obłęd, najszanowniejszy panie radco dworu, i żywiłbym pewne niepokoje co do potomstwa, które mogłoby odziedziczyć „małum“ rodziców. — A teraz daję moje ojcowskie błogosławieństwo na ten związek radosny i pozwalam, abyście się pocałowali, jako narzeczoną z narzeczoną.

To nastąpiło natychmiast i zanim jeszcze ostygła rozlana już na talerze zupa, odbyły się formalne zaręczyny.

W kilka tygodni potem pani radczyni dworu Heerbrand siedziała naprawdę, tak jak to już dawniej zobaczyła w duszy, na ganku pięknego domu na Nowym Rynku i z uśmiechem spoglądała w dół na elegantów, którzy przechodząc i lornetując ją, mówili:

— Jakaż to jednak boska kobieta, ta pani radczyni dworu Heerbrandowa!

Wigilja dwunasta.

Wieści o dobrach dziedzicznych, do których przeniósł się student Anzelmus, jako zięć archiwariusza Lindhforsta i jak on tam żyje z Serpentyną. — Zakończenie.

Jakżem ja zaprawdę, w głębi duszy odczuwał szczęście niebiańskie studenta Anzelmusa, co połączony najściślej z Serpentyną, przeniósł się teraz do owej tajemniczej, cudownej krainy, w jakiej poznał ojczyznę, do której tak dawno już tęskniła pierś jego, pełna tak dziwnych przeczuć! — Lecz próżne były wszelkie wysiłki, miły Czytelniku, aby Ci choć ogólnikowo słowami nakreślić obraz wszystkich tych wspaniałości, jakie otaczają Anzelmusa. Z odrazą stwierdzałem bezbarwność wszelkich wyrażeń, czułem się przygniecionym przez nędzne małostki, codziennego życia, zachorowałem z męczącego niesmaku, leżałem jak zemglony, krótko mówiąc, popadłem w ów stan studenta

Anzelmusa, który Ci opisałem, łaskawy Czytelniku w wigilji czwartej. Strasznie się gryzłem, skoro przebiegłem owe jedenastcie wigilji, które szczęśliwie sporządziłem, i teraz myślałem, że nigdy już chyba nie będzie mi sądzonem dorzucić do nich dwunastej, jako ostatniej cegiełki: bo ile razy tylko zasiadałem nocą, aby dokończyć dzieła, zawsze bywało mi tak, jakby jakieś srodze podstępne duchy (byli to zapewne krewniacy — może „cousins germains“ zabitej czarownicy) trzymały przedemną lśniące wypolerowane zwierciadło, w którym dostrzegałem swoje Ja, blade, niewyspane i melancholijne, jak registrator po pijaństwie ponczowem.

Ciskałem więc wtedy pióro i śpieszyłem do łóżka, aby przynajmniej marzyć o szczęśliwym Anzelmusie i słodkiej Serpentyńce. Tak trwało to już wiele dni i nocy, kiedy wreszcie zupełnie niespodzianie otrzymałem od archiwariusza Lindhorsta list, w którym pisał mi, co następuje:

„Wielmożny WCPan opisał, jak się dowiedziałem, nadzwyczajne koleje losu mojego kochanego zięcia, byłego studenta, a obecnie poety Anzelmusa, w jedenastu wigiljach, i teraz się WCPan bardzo nad tem mordujesz, aby w dwunastej, ostatniej, powiedzieć coś o jego

szczęśliwem pożyciu w Atlantydzie, gdzie on zamieszkał wraz z moją córką w pięknych dobrach dziedziczyć, jakie ja tam posiadam, Chociaż mi teraz nie bardzo jest na rękę, żeś W C Pan zaznajomił czytający ogół z tem, czem właściwie jestem, chociaż kto wie, czy nie narazi mię to, jako urzędnika, jako tajnego archiwariusza, na tysiączne nieprzyjemności, a może nawet zmusi do postawienia i rostrząśnienia w Collegium pytania: o ile Salamander może prawnie i ze wszelkimi następstwami składać przysięgę na urząd państwowy i o ile można mu wogóle powierzać poważne sprawy, bo według Gabalisa i Swedenborga duchom pierwotnym nie należy ani na chwilę dowierzać — chociaż teraz najlepsi moi przyjaciele unikać będą moich uścisków, z obawy, że mogłaby mi naraz przyjąć do głowy swawolna myśl, błysnąć coś niecoś i zepsuć im fryzurę, lub frak odświeżony — pomimo to wszystko, mówię, chciałbym jednak W C Panu pomódz w dokończeniu dzieła, gdyż powiedziano tam wiele dobrego o mnie i o mojej drogiej, zamężnej córce (chętnie bym się również pozbył dwóch pozostałych). Jeżeli więc chcesz W C Pan napisać wigilję dwunastą, to zejdz W C Pan ze swojego przekłętego piętego piętra, opuść swój pokoik i przyjdź do mnie.

W niewielkim pokoju, który już jest W C Panu znany, znajdziesz W C Pan potrzebne przybory do pisania i będziesz mógł wtedy w niewielu słowach zdać sprawę swoim Czytelnikom, coś W C Pan zobaczył: lepszem to będzie dla W C Pana od rozwlekłego opisywania życia, które znasz W C. Pan przecież tylko ze słyszenia.

Z poważaniem

Wielmożnemu W C Panu

szczerze oddany

Salamnder Lindhorst

p. t. Król. toj. archiwariusz.

Ów nieco szorstki, lecz w każdym razie przyjacielski, list archiwariusza Lindhorsta zrobił mi wielką przyjemność. Wprawdzie można było napewno przypuszczać, że ten zdumiewający stary doskonale był poinformowany o szczególnym sposobie, w jaki się dowiedziałem o losach jego zięcia i jaki musiałem, zobowiązany do tajemnicy, zataić przed Tobą nawet, miły Czytelniku, ale nie wziął mi tego tak bardzo za złe, jak się o to mogłem obawiać. Sam mi podawał dłoń pomocną dla dokończenia mojego dzieła i stąd mogłem słusznie wywnioskować, że on w gruncie rzeczy zgadza się na to, aby się z druku dowiedziano o jego zadziwiającem istnieniu w świecie duchów. Być może, myśla-

łem, że on sam stąd czerpie nadzieję wydania zamaż również obydwuch pozostałych córek, bo może padnie jednak w pierś jakiego młodzieńca iskra i wznieci w nim tęsknotę do Zielonego Węża, którego on wtedy, w dzień Wniebowstąpienia, w bżowym krzewie poszuka i odnajdzie. Z nieszczęścia, któremu uległ Anzelmus, kiedy go zamknięto w szklaną butelkę, poweźmie przestrogę, aby się jaknajsurowiej wystrzegał wszelkiego wątpienia, wszelkiej niewiary.

Punktualnie o jedenastej zgasilem swoją lampę od pracy i wymknąłem się do archiwarjusza Lindhorsta, który oczekiwał już na mnie w przedsionku.

— Jesteś pan więc! — Najczcigodniejszy! — no, cieszę się, żeś pan nie zapoznał moich dobrych chęci — wejdź pan tylko!

I zaraz zaprowadził mnie przez napelniony olśniewającym blaskiem ogród do lazuruwo-błękitnego pokoju, w którym zobaczyłem fioletowy stół do pisania, przy którym pracował był Anzelmus.

Archiwarjusz Lindhorst zniknął, ale zaraz pojawił się znowu, trzymając piękny, złoty puhar, z którego wysoko wykwiłał błękitny, trzaskający płomień.

— Przynoszę tu panu — rzekł — ulubiony

napój przyjaciela pańskiego, kapelmistrza Jana Kreislera *). — Jest to zapalony arak, w który wrzuciłem trochę cukru. Wypij pan odrobinę tego, a ja bym chciał zaraz zdjąć szlafrok i, dla własnej przyjemności, a także aby korzystać z pańskiego drogiego towarzystwa, podczas gdy pan będziesz patrzył i pisał, chciałbym się wznosić i opuszczać w puharze.

— Jak się panu podoba, szanowny panie archiwarjusz — odpowiedziałem — ale jeśli ja wtedy zechcę pociągnąć tego napoju, to pan nie będziesz...

— Nie kłopotz się pan o nic, mój drogi! — zawołał archiwarjusz, zrzucił szybko szlafrok, wszedł ku mojemu niemałemu zdumieniu do puharu i zniknął w płomieniach.

Bez obawy pokosztowałem, zlekka zdmuchując płomień, napoju tego — był boski!

*) Jedna z najpiękniejszych postaci, jakie stworzył Hoffman, postać prawdziwego artysty, o duszy nieokiełznanej, namiętnej, pełnej entuzjazmu dla wszystkiego, co piękne, dnmnej zaś i szyderczej wobec pospolitości, prostactwa, obłudy światowej i wszelkiego blichtru. Niejednokrotnie występuje Kreisler w powieściach Hoffmanna. (Przyp. tłum.).

Nie ruszając się w wiotkich szmerach i szelstach szmaragdowe liście drzew palmowych, jakby od wiatru rannego pieszczoty?

Ze snu zbudzone kołyszą się i podnoszą, i szepczą tajemniczo o cudach, które im jakby z dali dalekiej zwiastują słodkie harf dźwięki!

Lazur oddziela się od ścian i falami, jak mgła pachnąca, się wznosi i opada, lecz oślepiające promienie strzelają przez te opary, które jakby w radosnej, dziecięcej rokoszy kłębią się i wirują i wznoszą się aż do niezmierzonej wyży, co sklepi się nad palmowemi drzewami.

Lecz coraz bardziej oślepiająco skupia się promień do promienia, aż w jasnym świetle słonecznem roztwiera się nieogarnięta okiem kraina, w której ujrzałem Anzelmusa.

Jarzące hjacenty i tulipany i róże podnoszą swe piękne głowy, a zapachy ich wołają przemiłemi głosami do Szczęśliwego: „przechadzaj się wśród nas, Ukochany, Ty, który nas rozumiesz — zapach nasz jest tęsknotą Miłości — Kochamy Cię i Twojami jesteś na zawsze!”

Złote promienie płoną żarzącemi dźwiękami: „jesteśmy ogniem, wznieconym przez Miłość. Zapach jest tęsknotą, lecz ogień pożądaniem, a czyż nie mieszkamy w Twojej piersi?

Szeleszczą i szumią ciemne krzewy — wysokie drzewa: „przyjdź do nas! — Szczęśliwy Ty! — Ukochany! — ogień jest pożądaniem, lecz nadzieją nasz chłodny cień. Szemrzymy szumiąco, kochając nad głową Twoją, bo Ty nas rozumiesz, bo miłość mieszka w twojej piersi!”

Strumienie i źródła pluszczą i bulgocą: „Ukochany, nie przechodź obok nas tak szybko, przejrzyj się w naszym kryształ. — Obraz Twój mieszka w nas, a my go strzeżemy miłośnie, bo Tyś nas zrozumiał!”

Chórem radosnym ćwierkają, śpiewają ptaszki barwiste: „słuchaj nas, słuchaj nas, jesteśmy radością, błogością, zachwytem Miłości!”

Ale z tęsknotą spogląda Anzelmus ku wspańniętej świątyni, wznoszącej się w dali dalekiej. Przedziwne kolumny zdają się drzewami, a kapietele i gzymsy liśćmi akanthusów, które tworzą w zdumiewających zwojach i figurach ozdoby przewspaniałe.

Anzelmus zbliża się ku świątyni, spogląda, rokoszy pełen, na marmur barwisty, na cudnie omszone schody.

— Ach nie — woła, jakby w nadmiarze zachwyty — ona już niedaleko!

Na to wychodzi z wnętrza świątyni Serpentina, czarownie piękna, anielska, i niesie złoty

garnek, z którego wspaniała lilja wykwitła. Nie-wysłowiona rokosz nieskończonej tęsknoty jarzy się w jej cudnych oczach, tak patrzy na Anzelmusa, mówiąc:

— Ach, Ukochany! Lilja otwarła swój kielich. — Najwyższe się dopełniło; jestże gdzie taka błogość, która naszej się równa?

Anzelmus ją chwyta w objęcia w uniesieniu palących żarów pożądania, Lilja płonie w ognistych promieniach nad jego głową.

I głośniejsze ruszają się drzewa i krzewy, i jaśniej, radośniej, wołają źródła — ptaki — najrozmaitsze owady tańczą w wirach powietrznych — wesołe, radosne, triumfalne rozgwały w powietrzu — w wodach — na ziemi — świętują święto Miłości!

Aż tu zabłysną wszędy, świecąc po krzewach, błyskawice — djamenty się patrzą z ziemi, jak oczy roziskrzzone — wysokie wodotryski promieniają ze źródeł — osobliwsze zapachy przepływają z szumiącym skrzydeł łopotem — to są duchy pierwotne, co pokłon składają lilji i szczęście zwiastują Anzelmusa.

Aż podnosi Anzelmus głowę swoją, jak gdyby jaśniejącą w promieniach Przemienienia. — Czy to spojrzenia? — czy słowa? — czy śpiewy? Wyraźnie dźwięczy coś:

— Serpentyno! Wiara w Ciebie i Miłość otwarła mi głębie Przyrody! — Ofiarowałaś mi Lilję, która wykwitła ze złota, z prasyły Ziemi, zanim jeszcze Fosforus rozpałał Iskrę Myśli — ona ci jest Poznaniem świętej harmonji wszystkich istot, a w tem Poznaniu żyć będę w błogości najwyższej na zawsze. — Tak, ja, obdarzony szczęściem najwyższem, poznałem to, co Najwyższe — muszę cię kochać wiecznie, o Serpentyno! — nigdy nie zbledną złote promienie Lilji, albowiem, jak Wiara i Miłość, wiecznem jest Poznanie.

Wizję, w której teraz ujrzałem Anzelmusa w jego własnej osobie, w jego dobrach dziedzicznych na Atlantydzie, zawdzięczam zapewne sztuce Salamandra, i wspaniale to było, skoro, gdy wszystko zagasło we mgle, znalazłem to bardzo porządnie i na pierwszy rzut oka jakby przezmnie samego zapisane na papierze, który leżał na fioletowym stole.

Ale wtem ból gwałtowny przewiercił mi serce.

— Ach, szczęśliwy Anzelmusie, któryś odrzucił jarzmo codziennego żywota, któryś na

skrzydłach miłości do słodkiej Serpentyńy zwa-
wo uleciał nad ziemię i żyjesz teraz w błogich
roskoszach i radości w swoich dobrach dzie-
dzicznych na Atlantydzie! — Ale ja biedny! —
już wnet — tak, za kilka minut zostanę nawet
z tej pięknej komnaty, której przecież daleko
jeszcze do Atlantydy, przeniesiony do mojego
pokoiku na poddászu, a nędze ciężkiego życia
przytłaczają mą duszę, a wzrok mój omotany
jest, niby gęstym tumanem, tysiącnymi udręki,
tak, że ja nigdy już chyba nie zobaczę Lilji.

Na to archiwarjusz Lindhorst poklepał mnie
zlekka po ramieniu i rzekł:

— Cicho, cicho, mój czcigodny, nie skarż
się pan tak! — Czyż nie byłeś pan teraz sam w
Atlantydzie, i czy nie masz pan tam przynaj-
mniej przyzwoitego folwarku, jako poetycznego
dziedzictwa pańskiej duszy? — Jestże wogóle
szczęście Anzelmusa czem innem, niż życie w
Poezji, której święta harmonja wszystkich istot
objawia się jako najgłębsza tajemnica Przyrody?



SPIS RZECZY.

Wigilja pierwsza	8
Nieszczęsne przygody studenta Anzelmusa.— Hygieniczny tytuł Konrektora Paulmana i złoto- zielone węże.	
Wigilja druga	18
Jak student Anzelmus uchodził za pijanego, nie- spełna rozumu.—Przejażdżka po Elbie.—Arja brawurowa kapelmistrza Grauna.—Wódka żołąd- kówka u Conradi'ego i przekupka od jabłek w bronzie.	
Wigilja trzecia	35
Wiadomości o rodzinie archiwarjusza Lidhor- sta.—Błękitne oczy Weroniki.—Pan registrator Heerbrand.	
Wigilja czwarta	44
Melancholja studenta Anzelmusa.—Smaragdo- we zwierciadło.—Jak archiwarjusz Lindhorst od- leciał jako olbrzymi sęp a student Anzelmus nie napotkał nikogo.	
Wigilja piąta	60
Pani Anzelmusowa, radczyni dworu.—Cicero de officiis.—Koczndony i inne gałgaństwo.—Stara Elżbieta.—Aequinoctium.	
Wigilja szósta	76
Ogród archiwarjusza Lindhorsta i niektóre drwią- ce ptaki.—Złoty garnek.—Angielska kursywa.— Książę duchów.	

- Wigilja siódma 9
Jak konrektor Paulmann wytrząsnął fajkę i po-
łożył się spać.—Rembrand i Höllen—Breughel.—
Zaczarowane zwierciadło i recepta doktora Eck-
steina na nieznaną chorobę.
- Wigilja ósma 11
Biblioteka drzew palmowych.—Losy nieszczęśli-
wego Salamandra.—Jak czarne pióro pieściło się
z barakiem, a registrator Heerbrand bardzo się
upił.
- Wigilja dziewiąta. 12
Jak student Anzelmus cokolwiek przyszedł do
roзумu.—Towarzystwo przy ponczu.—Jak stu-
dent Anzelmus uważał Konrektora Paulma-
na za puha, a ten się bardzo na to rozzło-
cił.—Kleks z atramentu i jego skutki.
- Wigilja dziesiąta 13
Cierpienia studenta Anzelmusa w szklanej bu-
telce.—Szczęśliwy żywot seminarzystów i prak-
tykantów.—Bitwa w pokoju Lindhorsta.—Zwy-
cięstwo Salamandra i oswobodzenie studenta
Anzelmusa.
- Wigilja jedenasta. 15
Niepokój konrektora Paulmanna z powodu o-
błądu, co wybuchł w jego rodzinie.—Jak regi-
strator Heerbrand został radcą dworu i przy-
szedł podczas najtęższego mrozu w trzewikach
i jedwabnych pończochach.—Wyznania Wero-
niki.—Zaręczyny przy dymiącej wazie z zupą.
- Wigilja dwunasta 16
Wieści o dobrach dziedzicznych, do których
przeniósł się student Anzelmus, jako zięć ar-
chiwariusza Lindhorsta i jak on tam żyje z
Serpentyną.—Zakończenie.

